

- ◆ Jakie mamy szanse rozwoju? – str. 4
- ◆ Stan zagrożenia na Złotnie – str. 5
- ◆ Miłość po cygańsku – str. 15
- ◆ W pogoni za karnawalem – str. 13
- ◆ Anatolij Rybakow „Dzieci Arbatu” – str. 10

Nr indeksu 36762

PL ISSN 0472-5042

# Lódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 30 (1530)

ROK XXX

25 LIPCA 1987 ROKU

CENA 25 ZŁ

KONTYNUUJEMY CYKL ARTYKUŁÓW O POLSKIEJ PIŁCE NOŻNEJ. W siódmej publikacji przedstawiamy poglądy nowego trenera ŁKS, do niedawna trenera szczecińskiej Pogoni.

## Tylko tajfun nas uratuje

Rozmowa z LESZKIEM JEZERSKIM — trenerem drużyny piłki nożnej Łódzkiego Klubu Sportowego



Foto: Witold Werner

— Mówią o panu, że jest pan albo kamikadze, albo szalony, co na jedno wychodzi. A rzecz w tym, że po raz czwarty wrócił pan do ŁKS. Co pan na to?

— Nic. Można bowiem na to popatrzeć z różnych stron. Nie podpisywałem kontraktu z Pogonią Szczecin. Wcześniej zapowiedziałem, że odchodzę. To przecież jest normalny układ. A u nas robi się z tego sensacja.

— Brak kontraktu z klubem, to jakby niezgodne z przepisami PZPN.

— PZPN zmusza do tego, aby podpisać kontrakt, zapewniając, że jak dojdzie do zatargów z klubem, to PZPN będzie rzekomo bronił trenera. Ale ja wolę mieć wolną rękę. Gdy drużyna nie gra tak, jak tego oczekują działacze, to w pierwszym rzędzie zwalnia się trenera. I nikt go wtedy nie broni. Można tylko upominać się o ustawowe trzy miesiące poprzedzające zwolnienie, ale ja nie lubię wyklócać się o pieniądze. Dlatego wolę pracować bez formalnego kontraktu.

— Powiedział pan, że można na to różnie patrzeć. Ale na razie przedstawił pan swoje spojrzenie na odejście z Pogoni. Jakże były powody przysięgi do ŁKS?

— No właśnie. Można z jednej strony powiedzieć, że jest to sprawa wieku. Czuję się wprawdzie dobrze. Ba! Powiedziałbym — wspaniale. Ale przecież mam już dość podróży po Polsce za pracą. Był Chorzów z Ruchem, był Poznań z Lechem i Szczecin z Pogonią. Czas popracować na miejscu.

Można też powiedzieć, że to sprawa rodziny. Chciałbym wreszcie pobyć trochę z rodziną. Do tej pory byłem dojeżdżającym członkiem rodziny. Czas przejść na stałego.

— Ale można też na to popatrzeć inaczej. Zawsze mówię o sobie, że jestem elkasiaś. Młodzi jednak tego już nie rozumieją. Nie

wiedzą, co to znaczy być przywiązany do barw klubowych. Skoro jestem związany z ŁKS, można powiedzieć, że właściwie stałem byłem w ŁKS, tylko robiłem przerwy na pracę w Widzewie, Ruchu, Lechu i Pogoni. Tak więc wróciłem.

— Ładne to. Tym bardziej, że ŁKS zaproponował panu taki udany powrót po sukcesie w Szczecinie. Ale na drużynę padł chyba błąd strach?

— Mylił się pan! Podejrzewam nawet, że to był pomysł drużyny, abym wrócił do ŁKS. Rozmawiałem po 11 dniach pobytu w Łodzi, po 11 zajęciach z piłkarzami i jestem pełen uznania dla chłopców. Albo oni zrozumieli, że to, co do tej pory robili już się im nie opłaca, albo moja osoba ich zainspirowała do pracy. Na razie jestem autentycznie zadowolony.

Przychodząc do ŁKS niczego nie obiecywałem: że np. będę budował drużynę, bo nie lubię tego słowa, i nie mam z czego budować. Mam taki skład, jaki jest i muszę z nim osiągnąć dobre wyniki. Dlatego nie bajdurzę o przebudowie drużyny i nie opowiadam różnych kawałków, tylko muszę tych zawodników, którzy są, tak przygotować, aby grali dobrą piłkę. Mam określone możliwości i mało czasu. 9 sierpnia zaczyna się już nowy sezon.

— Miał pan inne propozycje?

— Miałem wiele.

— Wybrał pan jednak ŁKS. Czy tylko z sympatii dla klubu, z powodów rodzinnych, czy też były inne jeszcze powody?

— Nie wystarczy pani to, co już powiedziałem?

— Nie.

— No dobrze. Gdy decydowałem się na objęcie Pogoni w Szczecinie, to zastanawiał mnie, dlaczego zespół nie-  
złych graczy ledwie obronił się przed spadkiem? Dziś

Co robić w Łodzi, gdy są wakacje?

## Lato w mieście

MAREK KOPROWSKI



Foto: Witold Werner

Lato w tym roku zjawiało się mniej więcej we właściwym czasie, to znaczy, zgodnie z kalendarzem. Słońce stało na wysokości zadania i wyglądało na to, że wykona plan wakacyjnego świecenia (liczonego w promieniogodzinach), a może nawet — znacznie przekroczy. Radość dla dzieci i młodzieży szkolnej, radość dla tych, którzy urlop zaplanowali i udało im się to zrealizować w lipcu.

Rozgrzane miasto funkcjonuje leniwie i ospale: coraz więcej pojawia się wywieszek w drzwiach i oknach sklepów, zakładów usługowych i kiosków „Ruchu”, zawiadaniających o zamknięciu z powodu urlopu, tramwaje i autobusy kursują jak chcą (co nie jest właściwością li tylko miesięcy letnich), produkcja spada, upał rośnie, pić się chce, kurz dusi w gardle, jest po prostu przyjemnie.

Lato likwiduje wiele spraw i rozwiązuje różnorakie problemy, np. ubioru. Im mniej nałożymy na siebie, tym lepiej. Zyczymy takiego braku rozważań szczególnie dziewczynom. Przed składami opałowymi również jakby mniej ludzi, przed sklepem z futrami można przejść spokojnie, także w „miesnych” krótsze koleżki, bo zielone wędliny nawet daltonista rozpozna po zapachu. Tegoroczne lato zlikwidowało niektóre problemy bardziej skomplikowane. Zlikwidowało, mianowicie, Stowarzyszenie Twórców Kultury w Łodzi i warszawski tygodnik (dla młodzieży) „Radar”. Ciekawe, co przyniesie jesień?

Lato, jak każdego zresztą roku eliminuje dylemat: kść do kina czy do teatru, a może na koncert. Teatry nieczynne, koncerty (tych w Filharmonii) też nie ma, a więc — kino — bez stresujących kłótni i rozterek. I tu dochodzimy do sedna sprawy: co proponuje się tym, którzy pozostali w czasie wakacji w Łodzi i, jakby nie dość tego, chcą się jakoś kulturalnie rozerwać.

Najpierw wypada wymienić instytucje, które, taktownie nie chcąc narzucać się rozleniwionym upałem łodzianom, po prostu latem nie funkcjonują: teatry, jak wspominałem, tradycyjnie

będą nieczynne do września, kabaretów nie ma i nie będzie, palmiarnia nieczynna, Muzeum Kinematografii w lipcu i sierpniu także, Muzeum Historii Miasta nieczynne w sierpniu, Muzeum Etnograficzne zamknięte do 3 sierpnia, a od czwartego, czynna będzie tylko ekspozycja stała. Galeria Wschodnia nie działa do końca września. Estrada Łódzka nie przewiduje imprez na terenie miasta, wyjeżdża bowiem ze swymi programami na objazdy miejscowości wczasowych — i słusznie: tam, popołudniowa i wieczorna śmiertelna nuda (niezależnie od pogody) przynosi publiczność na każdy, nawet najgorszy program rozrywkowy, no bo ile można pić?

Zamknięte w czasie wakacji będą przeróżne kluby, klubiki, świetlice, agendy dzielnicowych domów kultury. Choć te ostatnie przygotowały dla swoich sympatyków propozycje na spędzenie wolnego czasu. I tak DDK Łódź-Widzew zaprasza w każdą niedzielę od 7 lipca do 13 września na imprezy w amfiteatrze widzewskim z udziałem zespołów folklorystycznych i rockowych, kapel, solistów, artystów scen łódzkich (wśród nich są, więc i tacy, którzy nie wyjeżdżają z Łodzi), iluzjonistów, itd.

Koncerty plenerowe: „Estradowe lato” odbywać się będą również w Parku im. A. Mickiewicza.

Wakacyjne kino proponuje ZDK „Prexer” przy ul. Nowotki 41. Przez cały lipiec, we wtorki, czwartki i piątki o godz. 16.00 wyświetlane będą filmy dla dzieci i młodzieży. W ogóle domy kultury nastawiają się głównie na dzieci i młodzież. DK „Lutnia” — Łanowa 14 — czynny codziennie (oprócz sobót) w godz. 10.00—16.00 zaprasza na bałki, gry komputerowe, tenis stołowy i — uwaga! — w pogodne dni czynny brodzik dla dzieci. DK „Rondo” przy Łimanowskiego 168, codziennie, oprócz sobót i niedziel, w godz. 9.00—15.00 proponuje spotkania z komputerem, tur-







**S**tary, wysłany na wojnę samolot lądował w Warszawie w ostatnich dniach sierpnia 1945 r. Na lotnisku nie ma nic z wyjątkiem umundurowanego celnika, najsympatyczniejszego spośród wszystkich, których kiedykolwiek widziałem. Nie interesuje go rewizja naszych chudych walizek — „dzień dobry w Warszawie” i nic więcej. Autobus, oczywiście stary gruchot, zawozi nas do hotelu „Polonia”, gdzie w holi przeważa się kłobowsko ludźmi. W tym jedynym funkcjonującym hotelu zamieszkuje chyba potrójna liczba osób w stosunku do liczby miejsc. Ambasada angielska miała wszystkich dwa czy trzy pokoje, a przykryta deskami wanna służyła jako biurko w „gabinie” ambasadora. Los mi sprzyja — jest Hofheld i oferuje pomoc w zakwaterowaniu: „Ja spię we dwóch na łóżku, ale na podłodze jest kilka dywanów i tam jest miejsce dla jeszcze jednego”. Potem długa rozmowa. O zmierzchu wychodzę na pierwszy króciutki spacer po Warszawie. Słychać kilka pojedynczych strzałów — wydaje mi się to normalne i naturalne w tym świecie ruin. (...)

Chcę odnaleźć rodzinę, a właściwie tylko matkę, bo ojciec zginął w Powstaniu Warszawskim, a siostra — w obozie na Majdanku. Do Lublina, gdzie matka nadal mieszka, udaje mi się wyjechać w stosunkowo krótkim czasie. Zastaję nie tyle postarzałą, co do głębi wyczerpaną nerwowo kobietę. W grypse z Majdanka siostra pisała, że co dzień w południe patrzy na wieżę kościoła Wzytek, widoczną także z obozu mieszkaniowego. Odtąd patrzenie na wieżę stało się codziennym rytuałem aż do dnia, kiedy w przebraniu sanitariuszki niemieckiej dr Jadwiga Bobrowska zdołała dotrzeć do baraku, w którym zginęła siostra.

W Warszawie zadziwiająco szybko odnajduję przyjaciół. W tym mieście ruin, którego ludność wzrasta o tysiąc osób dziennie i przekracza już 200 tysięcy, funkcjonuje jakiś niezwykły system obiegu informacji, który pozwala mi odkryć miejsce ich zamieszkania, a im — fakt mojego powrotu do kraju.

Alle pozostają też sprawy trudne, jak znalezienie pracy w zawodzie, poła przyszłej działalności, zrozumienie nowej rzeczywistości i zaangażowanie się w przemiany, jakie kraj przechodzi. To ostatnie następuje tak prędko, że właściwie wyprzedza pełniejsze zapoznanie się z nową rzeczywistością. Niemal niezwłocznie po przyjeździe odwiedzam Stanisława Szwalbe, jedynego człowieka polityką dobrze mi znanego z przedwojennego okresu.

Ciepła rozmowa rozwiewa wątpliwości, czy znaleźć pracę odpowiadającą moim ambicjom (nie mówię nadziejom, bo ich za wiele nie miałem), a ponadto Szwalbe mówi mi coś, co zapamiętałem jako wówczas niezmiernie ważne: „Jeżeli nie jesteście świadomi, że połączenie obu partii robotniczych jest w logice historii, toście nieustannie wrócić do Polski”. Podkreślam to i w związku na siebie samego, i bardziej jeszcze na szacunek należny Stanisławowi Szwalbe. Wraz z rozwojem wypadków dopatrywano się w nim przeciwnika połączenia się obu partii, podczas kiedy jego opozycja, dyskretna zresztą, dotyczyła pośpiechu i formy (co zresztą miało odbić się na treści procesu fuzji).

Hofheld zapoznaje mnie z Józefem Cyrankiewiczem, czego konsekwencją było moje formalne wstąpienie do PPS, z którą właściwie już w Londynie byłem solidnie związany. Dlaczego tak szybko zdecydowałem się wstąpić do PPS, mimo że przed wojną uchylałem się od działalności politycznej, a nawet od jakichś bliższych kontaktów z PPS? Powierzchniowo oceniając tę decyzję można by powiedzieć, że była to konsekwencja kontaktów nawiązanych w Londynie z tą grupą pepeesowców, która podobnie jak ja była zdecydowana wrócić do kraju. Ale głębsza przyczyna leżała w czym innym: była to inna PPS niż przed wojną i ja byłem też inny. PPS przedwojenna przez długi czas nie liczyła i nie mogła liczyć na skuteczność swojej postawy oraz wpływu na kształtowanie rzeczywistości. Tym samym była skazana na pewną mgławicowość koncepcji nawiązujących do jakichś ogólnych postępowych zasad. Teraz obok PPR stała się siłą, która wzięła na siebie odpowiedzialność za kształt nowej Rzeczypospolitej. (...)

W obliczu burzy, która przeszła przez kraj, uchylałem się od działalności politycznej byłoby w moich oczach czynem niemoralnym. Teoretycznie mogłbym rozważyć sprawę przystąpienia do PPR, ale zawsze — przedtem i potem — zniechęcały mnie elementy satysfakcji doktrynalnej, którą niekiedy grzeszyli komuniści. A to, że PPS grzeszyła odwrotnie — rozlewnością poglądów i niepełną konsekwencją polityki, wydawało mi się użytecznym składnikiem tej mieszanki, jaka potrzebna była społeczeństwu polskiemu.

Po kilku dniach oczekiwania na powrót do Warszawy nieobecnego czasowo Hilarego Minca, pełniącego funkcje ministra przemysłu i handlu oraz przewodniczącego Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów, odbyłem z nim długą, merytoryczną rozmowę, podczas której właściwie w pełni zostały rozwiązane podstawowe dla mnie sprawy. Z kolei przyszło mi zgłosić się do prezesa Rady Ministrów i do prezydenta. Edward Osóbka-Morawski wywarł na mnie bardzo dobre wrażenie — był spontaniczny, promieniował zaufaniem do przyszłości. Prezydent Bierut zaskoczył mnie tonem zyczliwości i zaufania — doszedłem do wniosku, że musi to być echo jego lubelskich związków, jak również bliskich stosunków do Stanisławem Szwalbe i Henrykiem Kołodziejskim. Na tym etapie były to jednak rozmowy powierzchowne, z wyjątkiem rozmowy z Hilarem Mincem.

O przedwojennej przeszłości Minca nie wiedziałem nic, on natomiast wiedział o mnie dużo. Okazało się, że już od pewnego czasu starano się odszukać mnie na Zachodzie, po prostu dlatego, że nie było kontrkandydata na stanowisko prezesa Centralnego Urzędu Planowania. Wydaje mi się, że Minc nie był zachwycony moim wstąpieniem do PPS, ale nie zaciążyło to ani na koncepcji, którą uzgodniłem, ani na naszych stosunkach przez bliźniaki dwa lata. Niezależnie od niezwykle doniosłej i odpowiedzialnej funkcji, którą z Hilarego Minca czyniła numer jeden gospodarki polskiej, odniosłem znakomite wrażenie o jego po-

ziomie intelektualnym i zrozumieniu nowej rzeczywistości gospodarczej kraju. Tym niemniej nie posiadał on jeszcze skryształizowanej koncepcji, czym powinno i może być planowanie w warunkach istniejącego wówczas stanu gospodarki i przyjętego modelu, zwanego trójsektorowym. Coś nieocześnie myślałem o tym problemie jeszcze w Londynie, ale i tak potrzebny był mi czas do namysłu. Natomiast sprzecywalismy niezwłocznie sprawę miejsca CUP w systemie administracyjnym kraju. CUP nie miał być ani ministerstwem, ani kopią radzieckiego Gosplanu. Miał to być organ opracowujący plany i koordynujący bieżącą działalność resortów gospodarczych, w zasadzie bez „imperium”. (...)

Najważniejszą funkcją, jaką przypadło mi pełnić w PPS, było przewodniczenie na częstych, periodycznych spotkaniach ministrów i wiceministrów pepeesowskich, gdzie referowałem bieżącą problematykę i gdzie uzgadniałem różnice zdań między pepeesowskimi członkami rządu. Józef Cyrankiewicz, który w tym okresie nie interesował się absolutnie problematyką gospodarczą, zjawiał się na tych zebraniach rzadko i na bardzo krótko. Czasem brał w nich udział któryś z sekretarzy CKW, np. Włodzimierz Reczek. Pod sam koniec okresu cupowskiego sekretarzem, który miał się zajmować sprawami ekonomicznymi, został Adam Rapacki, który porzucił pracę w „Spoom”. Ku

Powrót do Warszawy. Prace w Centralnym Urzędzie Planowania. Stosunki między PPS a PPR. Jaka była PSL?

## Pierwsze dni, pierwsze lato

CZESŁAW BOBROWSKI

memu zdumieniu pasjonowała go jednak przede wszystkim funkcja ministra żeglugi, tak że nadal udział władz partyjnych w kształtowaniu polityki gospodarczej był waty. Wiązało się to m.in. z faktem, że w aparacie CKW nie było łączącego się pracownika zajmującego się sprawami gospodarczymi (w jakimś momencie istniał kierownik wydziału do tych spraw, ale jest rzeczą znaczącą, że w ogóle nie pamiętam jego nazwiska). Po przeczytaniu artykułu, który opublikowałem na ten temat w „Kwartalniku Historycznym”, Stanisław Szwalbe zakwestionował słuszność mojej oceny, przytaczając argumenty godne uwagi: PPS udzielała zaufania towarzyszom pełniącym funkcje rządowe, zaś kierownictwo pragnęło uniknąć przerosłów biurokratycznych aparatu. Po wspólnej dyskusji pan Stanisław uznał jednak, że prowadziło to w konsekwencji do niedostatecznego przepływu informacji gospodarczej do kierownictwa i osi kierownictwa. Czułem się zadowolony także wówczas, gdy ani w sprawie rad nadzorczych, ani w sprawie ustalenia na wyższym poziomie zasiłków rodzinnych (przegrałem tu spór z Eugeniuszem Szyrem, mimo wcześniejszego uzgodnienia sprawy przez Kochanowicz z aparatem Ministerstwa Przemysłu), ani też w sprawie sytuacji działalności kulturalnej i społecznej raczej w ośrodkach niż w zakładach pracy nie znalazłem podtrzymania ze strony PPS, aczkolwiek tego rodzaju rozwiązania odpowiadały „filozofii” pepeesowskiej. (...)

Nigdy przedtem ani potem społeczeństwu polskiemu nie wydawało się tak oczywiste, że nie należy czekać, lecz działać. Każdy wybierał dla siebie formę tego działania: niekiedy było to szabrownictwo lub handel pokatny, ale częściej jednak — twórcza, użyteczna praca. U ludzi w pełni świadomych dochodziła do tego obawa, aby odzyskana wolność nie została zakłócona przez załamanie jakże kruchej gospodarki. Na szczeblu władzy, zwłaszcza w obu partiach robotniczych, podejmujących budowę socjalizmu mimo wszystkich trudności, występowało jeszcze niezmiernie silne poczucie odpowiedzialności.

Wielu ludzi wspomina okres, o którym mowa, w zupełnie innej tonacji, podkreślając przede wszystkim moment walki — trochę tak, jak członkowie ZBoWiD wspominali dawne kampanie. W moich oczach — mimo występowania wielu elementów dramatycznych — ani przeciwstawność działania leńskich ludzi, ani represje ze strony władz nie uchodziły za nic innego, jak za nieuchronne bóle porodu. Postawa taka nie wynikała z niedowiadości tego, co się dzieje. Przeciwnie, z pierwszej ręki znałem wypadki tak dramatyczne, jak sprawa Kazimierza Moczarzkiego, a także niewybaczalne akty gwałtu ze strony podziemia. Mniej poważne, a w każdym razie szczęśliwie zakończone wydarzenia z tej płaszczyzny działy się także wśród mego najbliższego otoczenia. Józef Cyrankiewicz, jadący akurat moim samochodem, został zatrzymany przez leńskich i już oczekiwał na swoją kolejkę, kiedy przypadkowo zjawia się kolumna KBW. Ja sam mam dług wdzięczności wobec kierowcy, którego podjęła i spadająca na szosę sosna (w drodze z Lublina przez Radom) nie pozabawiła zimnej krwi, tak że seria z karabinu nie mogła nas dosięgnąć, byliśmy już za daleko.

Jesienią 1946 r. pojechaliśmy z Hofheldem i naszymi żonami do Kazimierza. Znamy mi od dziesiątków lat właściciela hoteliku nie od mówiła nam przyjęcia, ale nalegała usilnie, abysmy wyjechali jak najprędzej. Zrozumiałem, że jest coś niernormalnego. W końcu oznajmiła, że hotel nie wchodzi w grę, ale że znajdzie nam jakiś nocleg. Poszliśmy nad Wisłę i tam doczekaliśmy zmierzchu. Wracamy do hotelu, gdy nagle w ulicę słychać podkute buty i okrzyk: stój, bo strzelam! Okazuje się, że to milicjant, który wyjaśnia nam, że w Kazimierzu nie spaceruje się po zmroku, że nawet oni, milicjanci, barykadują się na posterunku. Noclegu, a właściwie azylu, udzieliła

nam wtedy pani F., sfinie związana z podziemiem z Wawolnicy, która periodycznie dokonywała rajdów w kierunku Kazimierza.

Alle przecież były to jedynie bolesne „perypetie”, jak lubił mówić de Gaulle. Nowy ustrój rozdził się w społeczeństwie, które w zasadzie do niego dojrzało. Wojna i okupacja zniszczyła wiele przegród klasowych w Polsce. Reformy rolnej chciały wszyscy, z wyjątkiem chyba obłąkanców. Uspokojenie przemysłu było przesądzone przez fakty: jeśli dodać przedwojenny przemysł państwowy, mienie poniemieckie, przedsiębiorstwa cudzoziemskie czy krajowe skompromitowane współpracą z Niemcami, przedsiębiorstwa bezpotomnie zmarłych Żydów, będzie to znakomita większość kapitału przemysłowego. A że historia nie była łaskawa stworzyć warunków, w których na wyżej wspomnianej bazie nowy ustrój mógłby się rodzić bezboleśnie... Opory polityczne są przecież rzeczą normalną, występującą zawsze. Psychika młodego pokolenia, które przez kilka lat nauczyło się nie cenić ani własnego, ani cudzego życia, gdy trwała potrzeba walki zbrojnej — nie mogła szybko ulec zmianie. Zwiększa w warunkach błędów popełnionych przez propagandę wobec AK i iluzji podsycanych przez nieodpowiedzialne elementy PSL.

Za doniosły proces dojrzewania społeczeństwa uważałem więc nie malejące opory, lecz odwrotnie — rozszerzanie się czynnej akcepta-

cja władzy ludowej. W wypadkach najdalej idących przybierało to postać świadomego zaangażowania w budowę socjalizmu. Temu zaangażowaniu sprzyjał fakt, że wizja socjalizmu nie była monolityczna i spreyzowana, a ponadto, że wprawdzie zdarzały się przypadki wstępowania do partii robotniczych dla wygody lub kariery (do PPS także przeciw PPR), ale oportunistów nie było na wyższych szczeblach hierarchii. Za akceptację uważam zresztą coś znacznie szerszego niż zdobycie legitymacji partyjnych. Mogła się ona nawet łączyć z werbalną krytyką, ale wyrażała się przede wszystkim w zajmowanych w praktyce postawach. W szczególności zdobywała sobie uznanie działalność nowej władzy w zakresie gospodarczym, i to nawet wśród ludzi akcentujących swoją wrogość wobec komunistów. Łatwo było usłyszeć powiedzenie: „Trzeba przyznać, że ci (tu następował jakiś epitet) komuniści umieją sobie radzić z tą gospodarką”. Źródłem rosnącego zaufania do władzy było to, że nie uprzejmą się do nadmiernych obietnic i nie uprawiając propagandy sukcesu, najczęściej obietnicę dotrzymywała. (...)

O PPS powiedziałem już sporo, nie cofając się przed akcentami krytycznymi, ale zaznaczając równocześnie, że przywiązywałem ogromną wagę do roli, jaką PPS mogła odegrać w zdobywaniu akceptacji społecznej nowej rzeczywistości. Mogę chyba siebie określić jako zdecydowanego zwolennika linii jednolitofrontowej, z pewną jednak dozą drażliwości na temat równych dla obu partii praw. Jak znakomita większość pepeesowców, przyjąłem z zadowoleniem hasło rzucone przez Józefa Cyrankiewicza na Kongresie wrocławskim (jak się zdaje, wywołało ono niezadowolenie Wiesława — Władysława Gomułki) — „PPS jest potrzebna narodowi polskiemu”. Pamiętam o zdaniu Szwalbego co do nieuchronności fuzji obu partii, a w formule Cyrankiewicza nie widziałem wyzwania dla PPR, lecz ostrzeżenie przed zbyt pośpieszną, wymuszoną fuzją. Moje osobiste stosunki z kierownictwem PPS były dobre. Zachowałem niezmiennie szacunek, a nawet przyjaźń do Stanisława Szwalbego, uznawałem również walory Edwarda Osóbki-Morawskiego, takie jak odwaga, autentyczność. Trudno było jednak nie dostrzec, że nie dorastał on do podejmowanych zadań. W nowej ekipie znalazł się Kazimierz Rusinek — zbliżyliśmy się szybko, również moje stosunki z Cyrankiewiczem wyraźnie się ociepliły, nabierały charakteru osobistego, a nie tylko urzędowego.

PPR była partią bardzo odmienną. Silna organizacja, duża dyscyplina, liczne, odważne inicjatywy czyniły z PPR motor w tandemie z PPS, której częściej przypadała rola hamulca. Dzięki temu, że pochłaniała mnie działalność praktyczna i że mój udział w grze międzypartijnej był zerowy, nie narosły we mnie jakiegokolwiek urazy, a przeciwnie, nabrałem uznania dla operatywności i pragmatyzmu PPR z pierwszych lat powojennych. Osobiste stosunki z liderami PPR ułożyły mi się doskonale. Nie dotyczyło to Władysława Gomułki, z którym stykałem się bardzo mało. Na posiedzeniu w Komitecie Ekonomicznym Wiesław się nie zjawił, przysyłając jednego z wiceministrów, uczestnicząc w posiedzeniach Rady Ministrów był niezmiernie agresywny. Dwa czy trzy razy wziętem udział w spotkaniu tzw. szóstki (po trzech przedstawicielach PPS i PPR), które zadaniem było koordynowanie stanowiska obu partii w sprawach o różnej skali (od nominacji ambasadorów po zasadnicze problemy polityki gospodarczej). Na terenie szóstki głos Wiesława był niemal rozstrzygający. Nie znam go dostatecznie, chociaż mieszkalem w tym samym domu, o jedno piętro wyżej (stąd powstał dowcip, że jestem jedynym człowiekiem, który może bezkarnie tupać na Gomułkę). W kierownictwie PPR istniała niewątpliwie znaczna różnica stylu, sposobu reagowania, a nieraz postaw i poglądów pomiędzy Gomułką a Bierutem, Bermanem i Mincem. Minc, którego znałem naj-

plej, był zbyt szorstki, by stwarzać lub ułatwiać konflikty z sekretarzem generalnym. Mami natomiast żywo w pamięci półzartobliwą rozmowę z 1946 r., w której powiedziałem Mincowi, że on, Bierut i Berman należą do innego gatunku ludzi niż Gomułka. Ten ostatni nie miewa wątpliwości co do tego, czy jest dobrym marksistą — jako syn chłopia i autentyczny robotnik nie ma przecież po temu powodów.

Byłem wrażliwy na pewne cechy Bolesława Bieruta i na okazywanie mi wielokrotnie zaufania. Na Mincu i na mnie ciążył obowiązek informowania prezydenta i premiera o sprawach bieżących. W jakimś momencie Minc zaproponował „specjalizację”: jemu miał przypaść Bierut, mnie — Osóbka-Morawski (Minca niecierpliwiły rozmowy z tym ostatnim). Kiedy przez dwa tygodnie nie zgłosiłem się do prezydenta Bieruta, wezwał mnie telefonicznie i oznajmił, że nie ma zamiaru rezygnować z cotygodniowych rozmów ze mną.

Pewne zbliżenie z Jakubem Bermanem osiągnęliśmy o tyle łatwo, że mieszkaliśmy na tym samym pięttrze, drzwi w drzwi, co w okresie skrajnego braku czasu ułatwiało kontakty. Kiedyś spędziłem pół nocy w jego mieszkaniu, oczekując na telefon od Hilarego Minca, prowadzącego w Moskwie doniosłe rokowania. Po upływie 33 lat spotkaliśmy się znów dwa czy trzy razy.

Moje osobiste stosunki z Mincem były przez dłuższy czas przyjazne. Mnie na pewno, a sądzę, że również i Mincowi, sprawiała przyjemność nasze dyskusje na różne tematy — i te o znaczeniu praktycznym, i bardziej abstrakcyjne. Po Październiku wielokrotnie odwiedzałem go już ciężko chorego. Stan zdrowia Minca nie podważał jego żywiołowości i ciekawości intelektualnej. Moja żona twierdziła, że jest to najinteligentniejszy człowiek, jakiego poznała w ciągu pierwszych kilku miesięcy pobytu w Polsce. Alle moje osobiste stosunki z Mincem miały drugorzędne znaczenie w porównaniu z zagadnieniem naszej urzędowej współpracy.

Poza dwoma partiami robotniczymi, a może między nimi, znajdował się chyba zapomniany już dziś zupełnie, a bardzo wybitny i użyteczny w tamtych okolicznościach, a mianowicie Henryk Kołodziejski. Bronił się on przed jakąkolwiek funkcją urzędową — uległ dopiero w roku 1947, przyjmując stanowisko prezesa Najwyższej Izby Kontroli, natomiast jego rola jako mediatora między partiami, mediatora życiowego dla wszystkich, zaprzężonego zarówno z Bierutem, jak ze Stanisławem Szwalbe, była w krytycznych momentach bezcenna. Moja przedwojenna znajomość z Henrykiem Kołodziejskim pogłębiła się po wojnie.

W sumie stosunki z kierowniczym zespołem obu partii ułożyły mi się znakomicie, a dotyczyło to nie tylko mnie, ale i wielu nowych w orbitę tych partii ludzi. (...)

Zupełnie innym zagadnieniem była kwestia stosunków z PSL, a raczej mojego stosunku do tego Stronnictwa, gdyż — jak sądzę — moja osoba nie wzbudzała zainteresowania kierownictwa PSL. Stanisław Mikołajczyk nie znałem wcześniej, ani też nie spotkałem go w Londynie, ale przed wojną jako prezes poznańskiej Izby Rolniczej nie miał on dobrej opinii o pomysłach w Londynie działaczach ludowych. Rola, jaką przypadała Mikołajczykowi jako premierowi, była niezmiernie trudna, a dla niego wręcz za trudna. Nie zdobył się on na niełatwe co prawda decyzje w porę i koniec końców linie jego postępowania wyznaczył Anglię. Oczywiście w Londynie wolałem Mikołajczyka od londyńskich „nieprzejednanych”, ale od przyjazdu do kraju przyszedłem do jemu i jego stronnictwu ze sceptycyzmem.

Przy okazji uchwalania ustawy o nacjonalizacji przemysłu PSL uciekły się do sztuczki małego kalibru, zaznaczając swoją niezależność sądu przez głosowanie przeciw przyznaniu odszkodowania kapitałom cudzoziemskim, podczas kiedy wszyscy wiedzieli, że PSL jest za odszkodowaniem w tym i innych wypadkach. Tak samo sztuka niewysokiego lotu było hasło niegłosowania podczas referendum za zniesieniem senatu, jakkolwiek tradycyjnie stanowisko stronnictw ludowych było przeciw senatowi. Nie wiem jak naprawdę wyglądały stosunki między PSL z jednej a ambasadą brytyjską i leńskimi ludźmi z drugiej strony. Nie ulega jednak wątpliwości, że w obu wypadkach gra Mikołajczyka była dwuznaczna. Niewątpliwie podziemna opozycja uważała go za swego człowieka i ten pogląd cechował również leńskie oddziały. Minister Czesław Wycech jechał kiedyś zdając się do Olsztyna, gdy nagle w lesie zatrzymała go grupa na pół umundurowanych zbrojnych. Wycech myślał, że ma do czynienia z milicjantami, toteż ostro zaprotestował mówiąc, że jest ministrem. I wówczas zauważył, że wywołało to pełną wrogość w otaczającym go oddziale. Prędko więc dopowiedział, że jest ministrem peeselskim. Nastąpiło gorące przyjęcie: „Trzeba było tak od razu powiedzieć, panie ministrze”.

W Polskim Stronnictwie Ludowym znaleźli się bardzo różni ludzie: autentyczni chłopci, nieraz postępowi, drobnomieszczaństwo i inteligencja konserwatywna, ale także wrogowie władzy ludowej, nie mający nic wspólnego z ruchem chłopskim. Rozległość wpływów PSL opierała się więc na świadomym wykorzystywaniu niejasności i nadużywaniu zaufania. Ostatnim zarzutem, który dla mnie osobiście miał duże znaczenie, było to, że Mikołajczyk absolutnie nie interesował się pracami Ministerstwa Rolnictwa, nie przejawiał żadnej troski o rzeczywiste interesy chłopów (np. nie kłwnął palcem w sprawie zniesienia dostaw obowiązkowych). Miałem także przykrą okazję przekonać się, jak mało ten przewodca wiedział o naszych powojennych problemach gospodarczych — zwrócił się kiedyś do mnie o informację w sprawach, o których mógł absolutnie wszystko wiedzieć, a nie wiedział nic. Oprócz łatwego do przewidzenia w tych warunkach akcji, zmierzającej do osłabienia i rozbicia PSL, nie miałem wątpliwości, że w samym stronnictwie tkwiły sprzeczności, które musiały je rozszalać. (...)

Fragmenty rozdziału V książki pt. „Wspomnienia ze stulecia”, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.



W czwartym tygodniu II wojny światowej, 23 września 1939 roku, Zofia Nałkowska zanotowała w swoim dzienniku:

„Co będzie z Polską? Gdy zagraniczne komunikaty są wciąż pełne współczucia i uznania, a Anglia nie ustaje w obietnicach, ważne jest, czym okazała się Polska naprawdę, do czego sama jest zdolna. Powtarzają się poprzez stulecia te same błędy — dufność w swe siły, lekceważenie innych, puste przechwałki, pyszne frazesy. Coś infantylnego jest w tym braku odpowiedzialności, w liczeniu zatusze na to, że jakoś to będzie. Czułowiek trzeźwy, czy choćby rozsądny, od razu jest złym Polakiem”.

Kilkanaście dni później, już po kapitulacji Warszawy, Modlina i Helu, znakomita pisarka bardzo krytycznie oceniła dyktaturę sanacyjną.

„Daliśmy sobie wzmówić — pisała — że dla dobra ojczyzny trzeba milczeć. Pozwolił nam na kulturowanie głupoty i frazesu, na kulturowanie niewiedzy i chowanie jej, i strzeżenie niby skarbu. Ukrywano prawdziwy stan rzeczy, odgradzano ludzi dorosłych od rzeczywistości, lekceważono i tępieno tych, którzy myśleli inaczej. W czasach ostatnich i przedostatnich ileż wspinał się i zwłazł ordynarnych słów padło, by ozdobić czy ukryć popełnione błędy polityczne. Trudno było czytać gazety bez obrazów, nie można było słuchać radia”.

Po wojnie Polska odrodziła się w innym kształcie terytorialnym, ekonomicznym, politycznym, etnicznym, kulturalnym. Przede wszystkim przemieściła się geograficznie o około 200 km na zachód. Utraciła 180 tys. km. kw. powierzchni na wschodzie, uzyskując w zamian 102 tys. km. kw. na zachodzie i północy. Mało kto sobie uświadamia dziś, że ziemie przekazane ZSRR stanowiły aż 46 proc. przedwojennego terytorium, zaś tereny odzyskane obejmują jedną trzecią obecnego obszaru kraju.

Średniej wartości lub słabe, a bardzo dobrych zaledwie 3 proc. i dobrych 27 proc. W dodatku jesteśmy krajem ubogim w wodę. A do tego wszystkiego dochodzi straszliwe zniszczenie środowiska naturalnego i znaczna dekapitalizacja majątku produkcyjnego.

Z powyższego wynika, że naród polski stanął wobec potężnego wyzwania, na które musi dać adekwatną odpowiedź. Każdy dzień zwłoki pogarsza nasze szanse, lecz na razie nie widać działań gwarantujących osiągnięcie wymaganych i pożądanego efektów. Powstaje zatem leninowskie pytanie:

## CO ROBIĆ?

Moim zdaniem, założenia drugiego etapu reformy gospodarczej zostały nieźle opracowane. Gdyby udało się to szybko i konsekwentnie wcielić w życie, mieliśmyby cywilizacyjną podstawę odpowiedzi na wyzwanie. Ale poważna przeszkoda stwarza stan ducha Polaków. W świadomości społecznej zbyt głęboki jest pesymizm i apatia. A tymczasem wiemy z psychologii, że jeśli chcemy popchnąć ludzi do realizacji jakiegos przedsięwzięcia, musimy ich przekonać do dwóch spraw: po pierwsze, że warto do tego dążyć (cel jest opłacalny) i po drugie, że da się urzeczywistnić (cel jest realny).

Wybitny historyk brytyjski Arnold Toynbee (1889—1975) na podstawie badań wszystkich znanych cywilizacji doszedł do wniosku, że o rozwoju społecznym decydują: wyzwanie ze strony środowiska (niezbyt łatwe i niezbyt surowe), immanentny istnieniu pęd życiowy (élan vital), siła twórcza elity społeczeństwa i solidarność społeczna, która przesądza o skuteczności odpowiedzi. Momenty kryzysowe w rozwoju charakteryzują natomiast: zanik

bądź bezsilniejszych impulsów i nowych inicjatyw z góry. Pokazuje to zresztą przykład KPZR. Ponadto partia powinna odrzucać rutynowe i nieatrakcyjne formy działania. Obrady plenarne różnych szczebli mają zbyt rytualny charakter — z długimi, nudnymi referatami i ogólnikowymi uchwałami, z których niewiele wynika. Odstasza to przede wszystkim młodzież.

Obserwowana bierność dołów partyjnych spowodowana jest, moim zdaniem, dwoma przyczynami: brak jest jasnej wizji ustrojowej i brak koncepcji pracy partii w warunkach wykonywania z reformy gospodarczej. Nawet aktyw partyjny nie ma pewności, dokąd partia faktycznie zmierza i co ma robić. Niektórzy obawiają się, że budujemy socjalizm drobnomieszczański lub kapitalizm państwowy, i pytają: „po co w takim razie jedliśmy tę żabę?” Inni zaś podejrzewają, że naprawdę chcemy zachować stare formy.

Istnieje wobec tego konieczność jednoznacznego określenia modelu ustrojowego i reguł gry, które mają dłużej obowiązywać. Partijni i bezpartyjni muszą wiedzieć na pewno, jaka ma być w przyszłości rola własności prywatnej i kapitału zagranicznego w Polsce, jaką politykę socjalną będzie prowadziło państwo, na czym ma polegać koalicyjność władzy, jaki status będzie miał Kościół rzymskokatolicki? Te i inne kwestie trzeba ludziom dokładnie wyjaśnić, żeby mogli sensownie orientować swoje dążenia. Innymi słowy: należy ustawić aktualne i zlikwidować bałamutne drogowskazy ideowe.

Poza tym trzeba więcej rozmawiać z ludźmi i odpowiadać na dręczące ich pytania, a stanowczo

## MNIEJ PRZEMAWIAĆ.

Musimy powstrzymać inflację słów i osłabić magiczną wiarę w ich bezpośrednią skuteczność materialną. Już siedemdziesiąt lat temu Julian Ochorowicz piewał polskie „mówienie na wiatr” i do dziś niewiele się zmieniło. Interesująco pisze na ten temat Tadeusz Konwicki:

„Jakaś szalona wiara w słowo, która przyszła nie wiadomo skąd zadreza nas przez całe życie, sieje спустoszenie w kraju, doprowadza do kryzysów i raptownych rewolt. (...) Dla kogo codziennie organizujemy te maratony oratorskie. Dla kogo przywołamy każdego dnia kraj milionami ton zdevaluowanych, nie niewartych słów. Dla kogo te wszystkie słowa wygłupiliśmy, ośmiesziliśmy, oderliśmy z ich znaczeń, z ich siły, z ich piękna”.

Jeśli udałooby się ożywić i zaktywizować partię, to przy jej pomocy można by pobudzić do bardziej efektywnego działania kadry kierowniczą. Jest to kolejny ważny podmiot rozwoju społecznego. Według ostatniego spisu ludowego kategoria ta liczy 984,3 tys. osób. Mamy więc blisko milion kierowników. Stanowią oni 8,7 proc. ogółu zatrudnionych oraz 25,5 proc. pracowników na stanowiskach nierobotniczych. Od nich w decydującym stopniu zależy organizacja, dyscyplina i jakość pracy.

Następna ważna kategoria podmiotowa — notorycznie niedoceniana — są nauczyciele. W minionym roku szkolnym pracowało w szkołach podstawowych, ogólnokształcących i zawodowych 373 tys. nauczycieli. Ponadto szkoły wyższe zatrudniały 57 tys. nauczycieli akademickich. Nauczyciele decydują o obliczu szkoły, a szkoła należy — obok rodziny i Kościoła — do podstawowych instytucji wychowawczych. Wbrew pozorom efekty pracy szkół procentują dość szybko w społeczeństwie.

Ogromne znaczenie w procesie rozwoju mogą mieć również dziennikarze. Prasa, radio i telewizja powinny w większym zakresie spełniać funkcje krytyczne, inspiratorskie i popularyzatorskie. Ale ukrytych tu rezerw mobilizujących nie da się wyzwolić bez złagodzenia cenzury oraz innych form kontroli.

Wymienione cztery kategorie podmiotowe — partia, kadra kierownicza, nauczyciele i dziennikarze — mają szczególne znaczenie dla rozwoju bądź stagnacji kraju. Jednocześnie najłatwiej je zaktywizować i ukierunkować na zasadnicze cele i wartości. Notabene kierownicy, nauczyciele i dziennikarze w ogromnej części należą do PZPR. W nomenklaturze partyjnej jest jedna czwarta stanowisk kierowniczych. Należy do partii co czwarty nauczyciel.

Alle wielki ruch zacząć się musi od partii. To jest kluczowe ogniwo naszego systemu. Stąd muszą wyjść bardziej energiczne i skoordynowane działania. Partia musi wejść w 44 rok istnienia Polski Ludowej z rewolucyjnym rozmachem. Bo jeśli nie PZPR — parafrazując Michaiła Gorbaczowa — to kto, jeśli nie teraz, to kiedy?

Uważam dalej, że partia powinna wreszcie zdobyć się na następujące posunięcia. Po pierwsze — trzeba radykalnie rozszerzyć udział bezpartyjnych w sprawowaniu władzy. Nie wolno zapominać, że stanowią oni 92 proc. dorosłych obywateli — 88 proc. mężczyzn i 96 proc. kobiet. Po drugie — należy dowartościować materialnie i moralnie inteligencję. Wśród ludności czynnej zawodowo mamy 1,5 mln osób z wyższym wykształceniem (prawie 8 proc. ogółu). Po trzecie — partia musi być bardziej krytyczna wobec samej siebie i administracji państwowej. Zamiast mówić o roli przewodniej, kierowniczej i służebnej, co niepotrzebnie irytuje społeczeństwo, trzeba praktycznie walczyć ze złem.

Jakiegos rozstrzygnięcia wymaga też stosunek do Kościoła rzymskokatolickiego. Widzę trzy możliwości. Można go ignorować, można zwalczać lub współpracować z nim w niektórych dziedzinach. Opowiadam się za trzecim rozwiązaniem. Potęgą Kościoła — to cztery piąte wierzących i praktykujących, ogromny autorytet moralny oraz zdyscyplinowany aparat złożony z 23 tys. księży, 9.600 zakonników i 28.500 zakonnic (do tego dochodzi niemała liczba działaczy świeckich).

W końcu lat 60-tych Aleksander Boheński pisał: „Żadna wielka akcja mająca na celu uzmożnienie gospodarki nie mogła liczyć na poparcie episkopatu i licznej dobrodziejstwa armii duchowieństwa. Straty w zakresie mobilizacji sił, jakie tu kraj ponosił, obciążają Kościół co najmniej w tym samym stopniu, w jakim polityków obciążają ich błędy”.

Alle czy nadal tak musi być? Czy ta potężna instytucja nie mogłaby wesprzeć, w duchu Ewangelii, państwa socjalistycznego? Czy dalej ma być ośrodkiem skupienia i azylu dla przeciwników ustroju? Czy tylko to intelektualistów mają znajdować „przestrzeń wolności” (Jan Paweł II)? Nie sądzę, żeby nie dało się tego zmienić.

## W 43 ROCZNICĘ

Manifestu Lipcowego PKWN Polska Ludowa znajduje się w trudnej, lecz przecież nie beznadziejnej sytuacji. Obywatele wcale nie są tak biedni jak mówią i jak wskazywałby stan państwa. Samochody osobowe ma 38 proc. inteligentnych gospodarstw domowych, 24 proc. chłopskich i 21 proc. robotniczych. Telewizję kolorową odbiera 30 proc. inteligentów, 7 proc. chłopów i 19 proc. robotników. Praktycznie automatycznie piora w 54 proc. gospodarstw inteligentnych, 11 proc. chłopskich i 30 proc. robotniczych. Ludzie są nieźle odżywieni i dobrze ubrani. A te dziewczyny — piękne, modne, wykształcone...

Trzeba jeszcze zadbać o dobro wspólne, jakim jest nasze państwo, gospodarka i kultura. W tym celu konieczna jest sensowna wizja przyszłości i ogólnospołeczna mobilizacja. Musi ulec zmianie stosunek do pracy i własności wspólnej.

Zacząłem ten artykuł cytatem z dziennika Zofii Nałkowskiej, a zakończyę uwagami Marii Dąbrowskiej. Autorka popularnej telenoweli „Noce i dnie” w 1930 roku pisała:

„Z wysoka patrzymy na naszą codzienną pracę, do której każdy z nas idzie w ostre zimowe świtły i reżuje letnie poranki. Zdaje nam się, że jesteśmy wszyscy stworzeni do czegoś lepszego, do wielkich przeznaczeń i losów. Nikt prawie w Polsce nie lubi swojej pracy, każdy czeka na coś, co się zacznie dopiero i co będzie życiem naprawdę. Powszechna praca może nie być nudna, jej szaraś ma w sobie wszystkie kolory życia — tylko trzeba je oświetlić własnym, palącym sercem. To my jesteśmy szarzy, nudni, obojętni — wtedy kiedy wydajemy się sobie niepospolitymi”.

Nie jest to artykuł okolicznościowy. Za dużo mieliśmy już takich. Sukcesy i słabości wszyscy znamy. Musimy teraz znaleźć wyjście na prostą rozwoju i postępu.

# Jakie mamy szanse rozwoju?

EDMUND LEWANDOWSKI



Foto: Witold Werner

Powojenne procesy nacjonalizacji przemysłu, reformy rolnej, industrializacji socjalistycznej, urbanizacji, upowszechniania oświaty i kultury w sposób zasadniczy przeobraziły społeczeństwo polskie. Między przedwojenną, a współczesną Polską istnieje różnica ogromna i trudna do zrozumienia.

W czterdziestą rocznicę swych narodzin Polska Rzeczpospolita Ludowa ma 37,8 mln mieszkańców. Pod tym względem zajmuje siódme miejsce w Europie i dwudzieste szóste w świecie. Obywatele PRL stanowią zaledwie 5,3 proc. ludności naszego kontynentu oraz 0,8 proc. światowej populacji. Obszar państwa polskiego obejmuje 3,0 proc. powierzchni Europy i tylko 0,2 proc. powierzchni lądów kuli ziemskiej.

Jeszcze dziesięć lat temu Polska miała nieźle pozycję gospodarczą. Na liście Banku Światowego obrazującej dochód narodowy na 1 mieszkańca zajmowała 25 miejsce wśród państw z ponad milionową ludnością. Potem jednak przyszedł niezwykle

siły twórczej u elity, zanik w szerokich masach chęci naśladowania elity i zanik jedności w społeczeństwie jako całości.

Jaka z tego punktu widzenia mamy sytuację w Polsce? Przede wszystkim trudne wyzwanie, niska efektywność intelektualna i organizacyjna elity oraz brak solidarności społecznej. W szczególności potrzebna nam jest — jak to ktoś kiedyś powiedział — solidarność bez cudzysłowu. Nie wierzę jednak, że solidarność taka czy konsensus (jak mówią w kołach naukowych) powstanie w wyniku jakiegos porozumienia narodowego. Bardziej prawdopodobne jest to, że awangarda czy przywódca pociągnie masę za sobą.

W obecnych warunkach powinniśmy najpierw zaktywizować cztery kategorie podmiotowe: partię, kadry kierownicze, nauczycieli i dziennikarzy. Wyobrażam sobie, że mogłoby one stanowić wobec całego systemu społecznego „koło zamachowe” wzrostu gospodarczego oraz rozwoju i postępu.

Nie ulega wątpliwości, że w naszym ustroju klucz do rozwiązania najważniejszych problemów znajduje się w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Na mocy Konstytucji PRL partia jest „przewodnią siłą polityczną społeczeństwa w budowie socjalizmu”. Według najnowszych danych należy do niej 2 mln. 129 tys. członków i kandydatów. Dla porównania — stronnictwa sąsiednicze skupiają: Zjednoczone Stronnictwo Ludowe — 498 tys. członków i Stronnictwo Demokratyczne — 118 tys. członków.

W partii jest 8 proc. dorosłych Polaków — 12 proc. mężczyzn i 4 proc. kobiet. Najbardziej upartyjnioną wielką grupą społeczną jest inteligencja (26 proc.), zdecydowanie mniej klasa robotnicza (11 proc.) i najmniej klasa chłopstwa (4 proc.). Skoro co czwarty inteligent i co dziewiąty robotnik należą do PZPR — to znaczy, że pozycja komunistów jest lepsza niż można było oczekiwać.

Jedno z największych zagrożeń dla partii ma charakter demograficzny. W ciągu ostatnich 15 lat udział młodzieży (18—29 lat) w PZPR spadł z 25 proc. do 7 proc., a w przedziale wieku do 24 lat z 11 proc. do 1 procent. „A partia typu naszej PZPR — jak dawno zauważył prof. Jan Szczepański — pozbawiona rezerwy młodzieży, jest podcięta i zdana na łaskę wiatrów. Przez młodzież partia wstaje w naród”.

Badania wykazują, że większość społeczeństwa polskiego popiera ustrój socjalistyczny, lecz nie wszyscy w tej grupie akceptują kierowniczą rolę PZPR. Za typowe dla pewnej części można uznać stanowisko wyrażone przez jednego z korespondentów Władysława Machajka:

„Przecież wiecie, że naród was nienawidzi, a wy mimo tego nie ustępujecie, robicie swoje, jakby was nie nie obchodziła opinia. Tak was nienawidzimy, że nawet nie uznajemy tego, co robicie dobrze”.

Podobną opinię wyraziła dwa lata temu pewna niekierowniowa na psychicznie kobieta w łódzkiej tramwaju. Wyrażając się z uznaniem o warunkach pracy motorniczej (wygodna kabina, grające radio) powiedziała: „Co ci komuniści nie robią, żeby nas uraczyć, a my i tak ich nienawidzimy”. Ale są to opinie zdecydowanie mniejszości.

W celu zwiększenia autorytetu i umocnienia przewodniej roli, partia musi być bardziej ofensywna. Nie da się jednak tego zro-

## GŁĘBOKI KRYZYS

znany w zasadzie jedynie krajom nawiedzonym przez kataklizm przyrodniczy lub wojenny. Kryzys ten cofnął nas o wiele lat. Aktualnie mamy dochód narodowy na jednego mieszkańca niższy o blisko 10 proc. niż w 1979 roku. Jednocześnie zadłużenie Polski wynosi aż 35 mld dolarów USA oraz 7 mld rubli. Oznacza to, że statystyczny obywatel naszego kraju jest winien zagranicy 926 dolarów i 185 rubli.

Przeciętny Polak nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji. Wystarczy podać, że w ciągu jednego tylko 1986 roku zadłużenie Polski wzrosło aż o 4,2 mld dolarów USA oraz 0,9 mld rubli. Trzeba ponadto wiedzieć, że z przytłaczającej kwoty 35 mld dolarów tylko za połowę kupiliśmy coś dla gospodarki. Natomiast pozostałe 17,5 mld dolarów USA jest rezultatem wysokiego oprocentowania pożyczek. W niektórych latach stopa procentowa wynosiła aż 20 procent.

W minionym dziesięcioleciu, kiedy Polska zmagala się z monstrualnym kryzysem, wiele państw rozwijało się nadal. Jedne nas dogoniły bądź przegoniły, a inne zwiększyły dzielący nas od nich dystans cywilizacyjny i kulturowy. Pod wieloma względami Polska spada na przedostatnie miejsce w Europie.

Na szczęście w ostatnich latach mieliśmy sprzyjające warunki klimatyczne dla rolnictwa. Toteż po raz pierwszy w 1986 roku, plony zboż przekroczyły średnio 3 tony z hektara, a zbiory 25 mln ton. Trudno jednak liczyć, że Pan Bóg dalej będzie nam sprzyjał. Historia uczy, że klimat w Polsce — podobnie jak charakter narodowy — cechuje duża zmienność. Ogólnie nie mamy korzystnego dla rolnictwa klimatu. Stosunkowo często zdarzają się piosuchy, grady i przymrozki w niewłaściwych momentach. Musimy wobec tego być przygotowani na gorsze warunki. Niektórzy specjalści przewidują, że być może w krótkim czasie zyskuje się nam nowy kryzys żywiołowy.

Nie wolno zapominać przy tym, że Polska ma przeważnie gleby



**Z**a krańcówką trzynastki i śledem-nastki było Meyerowskie Pole i posterunek Cyganka, należące do gminy Radogoszcz. A dalej wieś Jagódka, która kończy się dziś w gm. Aleksandrów, ale już przylączyli ją do Łodzi. Potem Rąbień, wieś Grabieniec, no i Stare Złotno, była szesnastowieczna wieś Złotna, własność Złotnowskich, z majątkiem w Srebrnej.

Ci ze Starego Złotna to byli pańszczyźniani, a ci z Nowego Złotna pracowali u Meyera, stawiali domki, i to na lepszej ziemi.

Dzisiaj za krańcówką, kwitnie handel pod krzyżem, przed kościółkiem i pod wielkim supermarketem, który czasem ku radości rolników remontuje się w żniwa. W tym miejscu rozchodzą się dwie główne ulice: wyasfaltowana ul. Złotna, która co 45 min., ale nie w niedzielę można dojechać autobusem aż do Niesiecinia w gm. Aleksandrów, oraz bardziej wiejska ul. Podchorążych, gdzie komunikacji miejskiej nie ma.

Początek ul. Podchorążych zabudowany domkami tych, co się dorobili u Meyera, duża szkoła, remontowany od lat lokal, w którym mógłby być sklep, ale jest nadzieja, bo już pomalowali kraty. Szylid z napisem „Ośrodek Praktycznej Gospodyni Wiejskiej”, gdzie mieści się też prasownia, świadczy, że to jednak wieś w mieście i największe sołectwo Złotno, obejmujące teren między Retkinią, Teofilowem i parkiem na Zdrowiu.

No i faktycznie, na Podchorążych wśród domków kończą się chodniki i zaczyna się wieś. Ulica od początku do końca, prawie trzy kilometry, utwardzona i wysypana w czynnie społecznym szlaku, którą nie bez kłopotów przywożono tu z fabryki w burzliwych, strajkowych dniach naszej najnowszej historii. Tutaj mają swoje grunta także rolnicy z Jagodnicy i jeden z nich, Józef Klimczyk, przez całą zimę odśnieżał w czynnie społecznym ulicę. Ale jak wosną woda rozmyje drogi, nowe zamartwienie. Bo w sołectwie Złotno aż 32 ulice, niektóre takie kręte, wąskie i wyboiste, że można urządzić motocross lub rajd Safari. Ciemne i bez chodników, Rąbieńska też nie ma oświetlenia. Chyba, że rozjaśnią ją okna bloków Teofilowa i Grabienca.

Jest początek lipca, a tu i ówdzie jeszcze nie ścięta trawa z pierwszego pokosu. Ano, władza każe, to SKR jedzie wprawdzie kosić trawniki w mieście, a u chłopów trawa drewnieje. Dobrze, że władze w kółku rolniczym przejeżdżają, bo kiedyś to na spółdzielczym polu żytko wyrosło do pasa.

Idziesz ulicą Podchorążych, a wokół coraz więcej wsi. Kury na jedni, plantacje porzeczek, truskawek, stare szopy i nowe stodoły, olchowe i brzoźowe zagaje, stada owiec i krowy na wygonach. Przed bramami stoją na bafki, droga jedzie mleczarz rolwąga zaprzęzoną w dwa konie.

Tylko nie wieszaj się tu sielskością. Wejdiesz do zagrody, gdzie stare szopy i połowa murowanego domu nadająca się jako tako do zamieszkania, popatrzyś i posłuchasz młodej kobiety w okularach i miną ci zrzędnie. Kobieta ma dwoje małych dzieci na utrzymaniu i jest z zawodu ogrodnikiem, a małżonkiem, Adamem Świdą, rolnikiem i inseminatorem zarazem. Kupili niezbędne maszyny, z 4,20 ha sprzedają państwu za prawie 700 tys. zł. Hodują krowy i świnię, ale w szopach, więc przemazali na stwardniałym, zmrożonym oborniku. Przemazali też czerwone porzeczki, szlag trafił i odškodowania nie będzie. I jak tu żyć, gdy nie można ani się budować, ani remontować? Teren zagrożony, lecz miasto od 10 lat nie wykupuje ziemi.

Rolnikowi na Złotnie nie jest lekko, bo nawet kowal nie chce kuć koni. A u Świdów dramat, ponieważ lewa strona ul. Podchorążych jest zmeliorowana, prawa zaś, gdzie oni mieszkają, nie, albowiem przeznaczona jest pod budownictwo jednorodzinne. Ale nie na zasadach przymusowego wywłaszczenia, tylko dobrowolnie sprzedają. Cemu więc rolnicy nie mogą się tam budować?

Nie smuć się jednak, reporterze, pokażę ci też piękną ulicę, cudowny relikw z okresu radosnej twórczości. Ulica Stare Złotno. Z początku trochę domków i asfaltu, dalej równo ułożone betonowe płyty. Z lewej zadbane działki, z prawej na przestrzeni kilometra łące żytko i kartofle na lichej ziemi, ciągnące się aż po Brus i park na Zdrowiu. Miejsce w sam raz pod budownictwo wysokie lub jednorodzinne. Tymczasem to liche żyto oświetlają wielkie latarnie, jak na autostradzie, tylko gęściej ustawione. Płyty urywają się w polu, do Konstancynowskiej już nie dojdzie, a w otworach płyt zieleni się nie skalana ludzka stopa trawa. Parę metrów od krańca zielonej autostrady stoją zabudowania terenowego promienta, byłego prezesa.

Ano, kiedyś wszystkie pieniądze ładowano na Stare Złotno, gdzie ludzie starzy, zmęczeni ziemią, i mało gospodarstw. Można było wytłumaczyć starym, że jak zdadzą ziemię państwu za rentę, to unikną kłopotów, a jak zdadzą syno-



Foto: Witold Werner

Nowe Złotno — wielka wieś w wielkim mieście.

## Stan zagrożenia

RYSZARD BINKOWSKI

wie, to kłopoty dopiero się zaczęły. No i potem jeden człowiek wykupił tę ziemię z PFZ i utworzył duże gospodarstwo. Śluszone to z punktu widzenia polityki rolnej, ale zdaje się, że nie zbyt uczciwe. No i wygodne. Jak się na Starym Złotnie pogotowie zakopało w zaspach, bo nie miał kto odśnieżyć, to ludzie tylko wyglądali przez okna.

Nikt nie wsadza kija w mrowisko, ale faktem jest, że gdy na Nowym Złotnie miano budować kanał burzowy i próbowano wywłaszczać za rentę, Krysiński wysłuchał, ile z tego może mieć, i oznajmił, że dziękuję, bo jego Burek więcej zżre. Nowe Złotno jest biedniejsze, ale ziemi tu nie zdają z taką ochotą. Działają na obu Złotnach dwa Koła Gospodyń Wiejskich, co powinno sprzyjać zdrowej rywalizacji, ale te z Nowego nie mają nawet świetlicy.

Wspominając, że jeszcze za prezydentury Józefa Niewiadomskiego wydano korzystne zezwolenie dla rolników, którzy mogą wjeżdżać ze świeżymi warzywami w każdą uliczkę i handlować w dozwolonym miejscu. Dudkiewicz tak długo pchał wózek na handel, aż się dorobił Żuka. Ale jak go nie kijem, to pałą. Bo jest tu dolina Jasienca, wypływająca z rąbieńskich błot, na których było kilkadziesiąt zdevastowanych stawów rybnych. Ponieważ takie „kośne” stawy miał też Dudkiewicz, w związku z regulacją Jasienca zaproponowano mu, że się je zasypie i wykope zbiornik retencyjny, co też się stało. Tyle że zbiornik powstał między stodołą i oborą i Dudkiewicz dowiedział się, że zbiornik i droga dojazdowa uległy wywłaszczeniu. Więc jak, jeździć przez cudze, objeżdżać czy przelatywać helikopterem? Odwołania nie pomogły, toteż gospodarz powiedział, żeby wykupiono wszystko, ale miasta nie było na to stać.

Zanim sprawa trafiła do sądu administracyjnego, przyjechał prezes WK ZSL, Jerzy Chojnacki, Anna Orzechowska z telewizją i okazało się, że jakiś urzędnik popełnił błąd. Decyzję zawieszono, czyli cofnięto na zawsze. Podobnie trzeba było interweniować w sprawie dwóch braci, zajmujących jedno siedlisko. Jeden dokupił ziemi, chciał się budować, ale długo mu nie zezwalano, bo teren zagrożony, aż się okazało, że teren jednak zielony, rolniczy.

Odejdźmy jednak od podziałów na Złotnie i zajmijmy się jednym sołectwem. Samych podatników od 0,5 ha wzywał jest 264. Niektórzy płatnicy mieszkają na Piotrkowskiej, ale coraz

częściej wracają na swoje. Poza tym setki drobnych działkowców uprawiających warzywa, kwiaty, porzeczki, truskawki itp. Ogółem 780 ha gruntów, w tym 530 ha gruntów ornych i 101 ha sadów, a reszta to głównie łąki. Aby nie bawić się w statystykę, warto jedynie podać, że jeśli Polesie daje 14 proc. globalnej produkcji rolnej miasta, to Złotno daje z Polesia 80 proc. płodów rolnych, mięsa, jaj i mleka. Największe gospodarstwa należą do Jana i Henryka Figlów, Pawła Manowskiego, a Tadeusz Orlik, który mieszka pod samymi blokami Teofilowa, ma aż 34 ha, tyle że część na Bałutach. Najważniejsze jednak, w jakich warunkach ci twórcy, uparci ludzie pracują, toteż reporter właśnie na to zwrócił uwagę.

Jest taka ulica Traktorowa, po której zamiast traktorów pędzą lekkie samochody i autobusy. Wysoko usypana, zalana asfaltem, z płytkimi studzienkami, bez żadnego rowu. I z tego powodu zrozpaczona jest wdowa Maria Figielowa. Bo od 30 lat wyżej miał być sklep, więc nie pozwolono się jej tam budować i teraz dom grzybie, piwnice zalane bez przerwy, trzeba ciągnąć szlauchem wodę. Nikt czegoś takiego nie kupi, do bloków Figielowej też nie przeniosą. No i jak w czerwcu były ulewę i pękła rura na rogu Grabienca i Traktorowej, to zalało z osiem hektarów zmeliorowanych pól. U Figielowej od dwóch tygodni jeden wielki gnój, grządki z kwiatami i warzywami w błocie, drzewka żółkna, nadają się tylko do wyrzucenia.

Wdowa żyje gorzko, a otuchy dodaje jej tylko krzącący po Złotnie sołtyś, jak mówią na wsi Irena Brzezińska. Sołtyśka wszędzie wejdzie, pokrzepi dobrym słowem, zapyta o zdrowie, ucałuje młodą matkę, gratuluje jej nowo narodzonego dziecka, ale i zatroszczy się o chorego cielaka. A jak sprawa trudna, interweniuje w administracji i w partii chłopskiej, do której należy.

Ala ZSL nie wyprodukuje maszyn dla Złotna. Jak dwa lata temu kółko rolnicze i samorząd sołecki chciały kupić „Bizonę”, to Wydział Rolnictwa UML odpowiedział, że indywidualnym kombajnem się nie należy. Urzędowo samorząd wiejski nie jest organem społecznym. No i dobrze, bo ci ze Starego Złotna woleliby zamrozić samorządowe pieniądze w budowie gaziociągu, na który nie ma jeszcze nawet planów, ale dzięki Bogu większość wypowiada się za kombajnem. I może być taki mniejszy, bardziej

zwrotny, przydatny do skoszenia na małych działkach. Tyle że podwieszany do ciągnika C-385, a ciągnik to może otrzymać tylko gospodarz na osiem hektarów. Jeden z rolników zgodził się kupić taki ciągnik i świadczyć usługi sąsiadom.

Tylko kto pokryje straty Figielowej, kiedy za drzewka, kwiaty, warzywa nie ma odszkodowania, bo PZU wypłaca tylko za ziemniaki i zboże? I kto zrekompensuje straty Romanowi Masiarkowi z ul. Kwiatowej, gdzie buduje się domki jednorodzinne, ale chłopu nie wolno wydzielić działki 300 m kw swoim dzieciom, która u niego pracują, żeby się mogły pobudować? Trzy rodziny gnieżdżą się w baraku, więc Masiarek buduje dom na własne nazwisko, nie dostawczy pożyczki. Syn i córka by dostali, ale nie wolno im się budować na ojcowskiej ziemi. Kiedy staną u notariusza i ojciec przekaze im kiedyś dom w formie darowizny, wyjdzie taki podatek, że się nie pobierają.

Roman Masiarek pracuje w gospodarstwie starą warszawą, wóził nią także siano, ale przez długi czas dostawał tylko 36 l paliwa, zamiast 72 l, jak na żuka. Dobrze, że kółko rolnicze ma jakieś maszyny. SKR wyzbawia się młocarni, więc jest młocarnia samorządowa w agencji u rolnika, członka ZSL, który konserwuje ją i młóci zboże sąsiadom, posługując się własnym ciągnikiem i biorąc 1200 zł za godzinę. Prywaciarz bierze 2000 zł. Poza tym samorząd nabył ostatnio prasę samozbiierającą.

Masiarek musi umieć pomóc, bo on z 2 ha zbiera dla państwa plody o wartości 1,5 mln zł. Ale podsołtysowi Pietrzykowi, co mieszka kawalek dalej, to już w ogóle nie wolno się budować, bo przez jego pole ma pójść przebiegać jakaś arteria. Podsołtys musi nie tylko wiedzieć, że rolnik nie może trzymać bez zezwolenia buhaj i nie dopuszczać go bez zezwolenia do krowy, ale i to, że mieszka w terenie zagrożonym.

Pytanie więc, czemu ludzie nie rzucą tego w cholerę. Można by stwierdzić podniosłe, że decyduje miłość do ziemi. Ale nie o to chodzi. Oni trzymają się w kupie, bo mają dobry samorząd, liczne koła ZSL, młodych w ZMW, Koło Gospodyń Wiejskich, wielu ofiarnych działaczy, jak chociażby dr Stoma-Bartosiańska, radna DRN Polesie, kierowniczka Wiejskiego Ośrodka Zdrowia na Polesiu, Zrobiła już wiele, toteż ma nadzieję, że zakończy zwycięsko walkę o likwidację nielegalnego wysypiska śmieci na wprost Ośrodka Zdrowia. Bo jak chodzi o śmietniko na cmentarzu przy Rąbieńskiej, to urzędnicy zdecydowali, że ma je usunąć parafia augustańsko-ewangelicka.

Najbardziej przygnębiła reportera wizyta na ul. Cieplarnianej. Paweł Manowski, sympatyczny brodac, lat 28, prowadzi samotnie 12-hektarowe gospodarstwo. Byłi rzeźne, cielecia, siedem krow, mnóstwo świń w drewnianych szopach. Za te świnię w 1986 roku wziął 1860 tys. zł. Karmi je tym, co inni zmarnują. Chce mu się sprzedać 6 tys. butelek zsiadłego mleka po 1 zł za litr, opróżnić każdą i odwieźć z powrotem handlowcom. Chciałby też dokupić krow, ale tu z jednej strony rośnie osiedle na 260 domków, pod które trzeba oddać 1,5 ha ziemi, a z drugiej bloki Teofilowa. Ci z bloków wyrzaskują, że chamy się kulić, a puszczać na chłamu psy. Depczą i niszczą „szys” ko jak szarańcza. A że potrafią zbić krowy i a łąkach, spuścić z łańcuchów, a nawet wydrzeć, to wiadomo, skąd się wzięło w blokach to straszne mieszkaniostwo. Jest to ewidentny przykład na popelniane jeszcze, do dziś błędy w polityce rolnej, wskutek których wytworzyły się antychłopskie odruchy i aura pogardy wobec rolnictwa. I pewnie dlatego Paweł Manowski mówi z żalem, że wskutek zagrożenia i niemożności budowania się zmuszony będzie kupić gospodarstwo w innej gminie.

W Polsce na 10 rolników przypada tylko 1 osoba zatrudniona w obsłudze rolnictwa. Na wsi tylko 7 proc. gospodarstw posiada łazienki, 2 proc. gaz, 17 proc. centralne ogrzewanie. Wydaje się, że na wsi leżącej w granicach wielkiego miasta powinno być lepiej. Ale różnica jakości specjalnie nie widać. Złotno nie ma gazu ani wodociągu. Zimą wyłącza się prąd, dojarki stoją, a krowom psują się wymiona. Nie ma kawiarni, ani klubu, gdzie młodzież mogłaby kulturalnie spędzać czas. Do sklepu jest 2 km, a do jedynego publicznego telefonu w straży pożarnej także 2 km. Dzieci chodzą do szkoły po 3 km. Gdyby ul. Podchorążych była wyasfaltowana, mogłaby jeździć autobusem.

Ludzie żyją tu długo, bo Złotno leży na działle wodnym, ale to nie znaczy, że są w pełni zdrowi. I nie wiadomo, czy takim jak Manowski na długo starczy cierpliwości. Dopóki jednak rodzi się tutaj żywność, trzeba w maksymalnym stopniu niwelować skutki zagrożenia i stwarzać przychylną atmosferę wobec młodych, którzy wiażą swój los z ziemią. I pamiętać, jeśli taki stan zagrożenia zapanuje na terenach, które właśnie przyłączono do Łodzi, to możemy stracić sporo żywności. A przecież mamy się sami wyżywić.

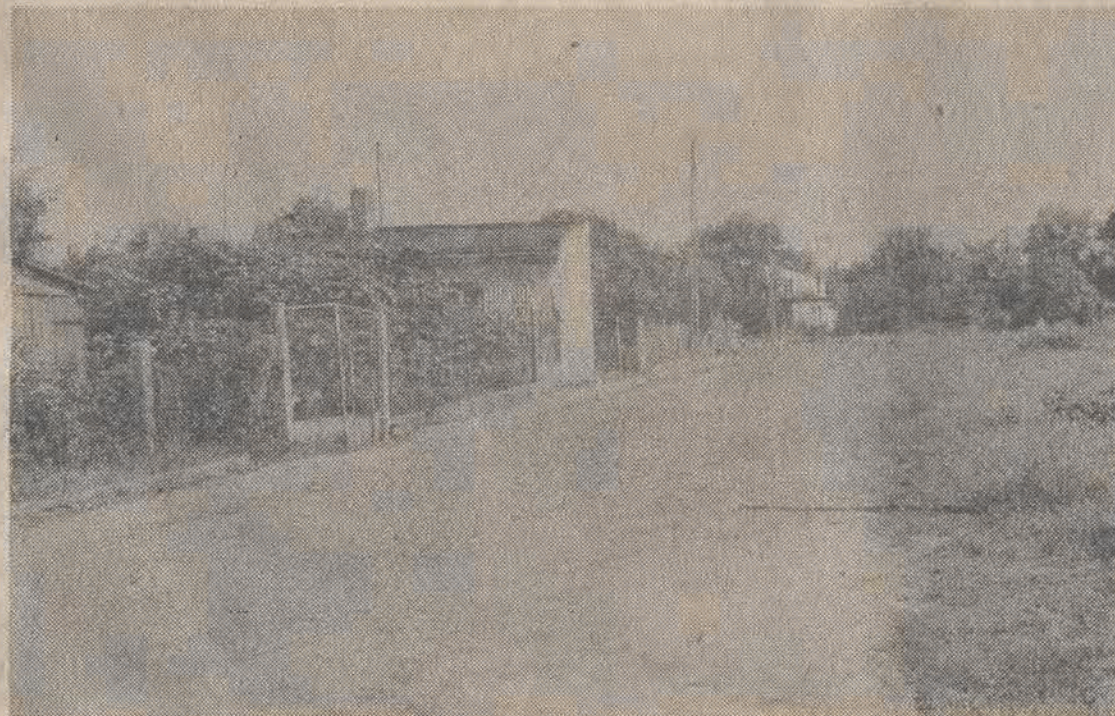


Foto: Witold Werner





Foto: Witold Werner

## Tylko tajfun nas uratuje

ze str. 1

jest podobna sytuacja. Przecież znam chyba 90 procent zespołu, to ja ich wprowadzałem jako juniorów. Dlaczego oni tak grali choć powinni grać dużo lepiej?

— Jakże postawił pan warunki?

— Żeby jak najmniej ludzi kręciło się koło piłki nożnej i żeby tylko oni o piłce nożnej decydowali, a nie cały zarząd LKS. Działacze muszą mi zaufać, bo jestem fachowcem. Muszę mieć samodzielność, którą będę wykorzystywał dla dobra drużyny. Żeby wreszcie grała porządną piłkę dla ludzi.

Proszę sobie wyobrazić, że przyjeżdżając do Łodzi z Pogonią na ważny mecz i zobaczyłem, iż na stadionie jest więcej kibiców ze Szczecina niż z Łodzi. To dla kogo grała drużyna? Dla zarządu LKS? Ma grać dla ludzi.

— W Szczecinie było inaczej?

— Było inaczej. Zegnali mnie tam przez tydzień. Ale to były pożegnania oficjalne. Najbardziej wzruszające było pożegnanie z kibicami na stadionie, po ostatnim meczu, kiedy przez 10 minut dwadzieścia pięć tysięcy ludzi śpiewało i prosiło, abym został w Szczecinie. Lzy się mogły w oczach zakręcić najwzruszającemu mężczyźnie. Nigdy tego nie zapomnę. Mieszkałem 200 metrów od stadionu. Ustawił się na całej trasie szpalier kibiców, którzy prosili, abym został. Wie pani, jak jest ciężko przejść wśród takiego szpalieru serdecznych ludzi?

— A narzeka się, że nie ma już prawdziwych kibiców.

— To nie jest prawda. Jak jest dobra piłka, to są i prawdziwi kibice. Na kolejnych meczach Pogoni było coraz więcej kibiców.

— Osiągnął pan sukces, ale pewnie miał pan tam lepsze warunki finansowe. Zawsze to przecież portowcy.

— Zdziwiłbym zapewne panią, ale w Pogoni Szczecin nie ma wcale lepszych warunków finansowych od tych, jakie są w LKS. Zresztą nigdy nie stawiałem na pierwszym miejscu spraw finansowych. Nie przyjeżdżałem do Łodzi dla pieniędzy.

— Myślę o płaceniu piłkarzom

— Stoczniovecy wcale nie płacili lepiej.

— Ejże! Zawodnicy LKS skarżyli mi się, że mają stypendia po 19 tysięcy złotych.

— Niech pani w to nie wierzy. I może pani to spokojnie napisać. W Pogoni nie ma stypendiów, są etaty. Ale rzecz nie w tym. Ja miałem określona sumę pieniędzy i decydowałem o ich podziale. Zarobki były zróżnicowane. Dzie-

więciu zawodników Pogoni miało wysokie pensje. Twierdziłem, że tak samo wysokie pensje mają zawodnicy LKS.

— A premie?

— Nie płaciłem premii za obojętność. Nie liczyłem się z nazwiskiem. Kiedy na przykład Marek Ostrowski grał słabo, to mało dostawał. Zresztą zarobki też nie były stałe. Co dwa miesiące, razem z moimi współpracownikami, robiliśmy analizy i jeśli się okazało, że ktoś się opuścił, to dostawał mniejszą pensję. Na 10 dni przed wypłatą informowałem ich o tym.

— Co na to zawodnicy?

— Musieli się z tym pogodzić. To był doskonały orecz i będę chciał skorzysta z niego również w LKS.

— I to była podstawa sukcesu Pogoni?

— Nie. To był jeden z instrumentów. Podstawą była praca. Wie pani, kiedy nierzadko słucham różnych takich dyrdymalek o unaukowieniu sportu, to mnie diabli biorą. Sport musi się opierać przede wszystkim na pracy. Nauka, medycyna może być w tym pomocna, ale nie zastąpi pracy. Poza tym trener musi mieć nos i oko. Tak to nazywamy.

— Można powiedzieć, że to trenerski talent.

— Można i tak. Nauka powinna mu w tym pomagać. Ale decydować musi „nos i oko trenera”. Pamięta pani, że był kiedyś wielki Feliks Stamm, który stworzył w Polsce wielki boks. On właśnie miał to „oko i nos trenera”. Albo Kazimierz Górski. Bez tego nie się nie osiągnie.

Jestem chyba najstarszym trenerem. Z piłką nożną jestem związany od końca wojny. Nikt mi nie będzie bajek opowiadał, łącznie z Wojciechem Łazarkiem, który naczytał się różnych mądrości i ciągle powtarza: — „analiza, wyciąganie wniosków” i tak dalej. Bez przerwy robi się jakieś testy, bada się wydolność płuc, możliwości układu krążenia, skok dosiężny i tak dalej. Co kibiców obchodzi te badania? Co ich obchodzi skok dosiężny Leśniaka? Oni chcą, aby piłkarze skutecznie strzelali gole. Mamy natomiast testy i przegraliśmy eliminacje do mistrzostw Europy. Teraz Wojciech Łazarek ma budować drużynę na mistrzostwa świata. Pracę w każdym razie ma zapewnioną.

— Ale zdaniem Wojciecha Łazarka szwankuje współpraca z klubami.

— Ja z nim nie miałem żadnej współpracy. Zadzwoń kiedyś i powiedz, że potrzebny mu jest Marek Ostrowski. Zalałbym Ostrowskiemu szybki wyjazd ze Szczecina. I koniec współpracy.

Dowiaduję się na przykład, że Wojciech Łazarek żałuje,

iż w reprezentacji nie grał Zbigniew Boniek. I dziwię się. Przecież trener do niego się nie zwracał. To czego teraz żałuje? Niech się po prostu przyzna do błędów. A ten błąd polega na tym, że trener ustawiał ludzi pod system, a nie system pod ludzi.

Mówiłem już kilka razy, że w reprezentacji nie jest potrzebny trener, potrzebny jest selekcjoner. W reprezentacji mają być najlepsi, jacy aktualnie są.

— Ale mówi się, że taka jest reprezentacja. Jaka jest liga.

— Za czasów Kazimierza Górskiego liga nie błyszczała, a reprezentacja była taka, że dał nam Boże dziś podobną. I proszę pamiętać, że wcale o kształcie reprezentacji nie decydowali zawodnicy z najlepszych klubów. Wtedy liczył się Górnik Zabrze i Legia, ale w reprezentacji przeważali zawodnicy z innych klubów.

Wojciech Łazarek przebadal 70 zawodników i nie z tego nie wyszło. Teraz dowiaduję się z gazety, że Wojciech Łazarek zalałby torby dla reprezentacji, a ktoś tam uszyje garnitury, żeby reprezentacja ładnie wyglądała. I to mnie nawet cieszy, bo mogę mieć nadzieję, że wreszcie reprezentacja będzie stabilna. Trudno przecież uszyć garnitury dla 70 facetów.

— Złośliwość panu nie brakuje.

— Nie. Bo mnie szlag trafia. Przecież trener nie jest ani od toreb, ani od garniturów.

— Ale nie zaprzecz pan, że jakaś współpraca między klubem a reprezentacją powinna być. Jak taka współpraca powinna — zdaniem pana — wyglądać?

— Jak? Bardzo prosto. Trener reprezentacji, a ściślej: selekcjoner — powinien pytać trenera klubowego o formę jego zawodników i o to, jak ich ustawić, z kim powinien grać, żeby grać najlepiej. A nie pouczać trenerów klubowych, jak mają pracować. Co go to obchodzi? Jeśli piłkarz dobrze gra w zespole, to znaczy, że go dobrze przygotowałem. Jak? To już moja sprawa.

— Ale pan przecież też może popełniać błędy.

— To jest inna sprawa. Nie żałuję czasów przeszłych i nie wspominałem, jak to się niegdyś dobrze grało w piłkę nożną, bo czasy były inne i tego się nie da porównać. Jeśli wspominałem o Kazimierzu Górskim, to tylko dlatego, że wspominałem o metodzie. Są przecież metody uniwersalne, którymi można się posługiwać w różnych czasach i różnych warunkach.

Gdy oceniam swoje decyzje, to wydaje mi się, że nie były najgorsze. Zaliczam się do czołówek trenerskiej w Polsce, to znaczy, że głowa mi jeszcze pracuje. Czy popełniałem błę-

dy? Popełniałem i pewnie będę popełniał. Chodzi tylko o to, aby mieć koło siebie takich ludzi, którzy potrafią w porę zwrócić uwagę, że błądzą. Jeśli mi to pokażą, to muszę wziąć poprawkę. Ale nie lubię, kiedy mnie pouczają ludzie, którzy do tego nie mają ani prawa, ani kompetencji.

— Wszyscy mówią o potrzebie ratowania polskiej piłki nożnej. W czym by pan upatrywał zagrożenie?

— Myślę, że powodem tego są głupie zarządzenia. Weźmy choćby stypendia. Jak zawodnik ma utrzymać siebie i rodzinę za 19 tysięcy złotych? W dodatku powinien coś sobie odłożyć na później, gdy skończy z piłką nożną. GKKFiT musi wreszcie podjąć rozsądne decyzje. To jego zadanie.

— W jakim kierunku powinny pójść zmiany?

— Kluby gwardyjskie, górnicze, wojskowe, budowlanych, kolejarskie wprowadziły już etaty. Myślę, że to powinno pójść w tym kierunku. Dla dużej fabryki to żaden uszczerbek, jak weźmie na utrzymanie dwóch piłkarzy. Ale konkretnych propozycji nie mam. Wie pani, jestem trochę jeszcze oszołomiony, bo z warunków luksusu i komfortu wpadłem w łódzką rzeczywistość i nie wiem, jak się ustosunkować do różnych problemów.

— Problemy ogólne, dotyczące wszystkich klubów pan przecie zna.

— Owszem. Mogę powiedzieć z całą pewnością, że dużym nieszczęściem naszej piłki nożnej jest to, iż dużo różnych komórek podejmuje różne decyzje i nic z tego nie wynika. Na przykład w PZPN decyduje Wydział Ligi, komórka do spraw szkoleniowych, wydział dyscypliny, wydział do spraw regulaminów, organizacyjnych, rada trenerów i do tego jeszcze dochodzą decyzje GKKFiT oraz Federacji Sportu. I nawet nie wiem, czy już wszystko wylizyłem.

Jestem w radzie trenerów, chyba mam tam najdłuższy staż i widzę, co się dzieje. Zresztą trafnie ujął to Hubert Kostka. Powiedział do mnie: — Ja już zrezygnuję, bo nie mam zamiaru dalej młócić słomy. My tu podejmujemy różne uchwały, decydujemy, kierujemy do PZPN i co? I nic.

— Jaka na to rada?

— Wie pani, czasem marzę, żeby nadszedł tajfun, albo jakaś trąba powietrzna i wszystko to rozkurczy. Może by wtedy powstało coś nowego i sensownego. Czas bowiem zrozumieć, że wszędzie tam, gdzie powstaje nadmiar komórek decydujących, tam nie może się nic dobrego dziać. Dziesięć różnych komórek nigdy nie podejmie jednej rozsądnej decyzji.

— A co pan sądzi o dwóch plażach w piłce nożnej: o płażystwie i przekupstwie?

— Mam do dziennikarzy sporo pretensji, że się tego uczepili.

— Czyżby to była nieprawda?

— Nie o to chodzi. Alkoholi-

zm nie jest przywarą tylko piłkarzy. Jest to nieszczęście naszego społeczeństwa. Nie ma więc co wydziwiać, tylko trzeba tak postępować, aby pijaństwa nie było w klubie.

— Uważa pan to za możliwe?

— Tak. Bez zbędnego moralizowania, zawieszania zawiesz i tym podobnych głupot.

— U pana w Pogoni nie było?

— Nie przeczę, zdarzało się. Ale trzeźnieliśmy solidnie po kieszonki, tak że delikwent nie odczuł i pojął, że mu się nie opłaci. To nie były tylko dożadne kary pieniężne, to wpływało na całość zarobków.

— Nie zaprzecz pan też, że kupowano mecze.

— Nie zaprzeczę. Ale przepraszam bardzo, kto kupował? Piłkarz? Jeśli nawet brał pieniądze, to ktoś mu je dawał. Kto? Działacze. Sądzę pani, że się to odbywa bez zgody prezesa? A kto to jest prezes klubu? Na ogół działacz, dobrze ustawiony, dyrektor dużej fabryki, człowiek mający pozycję w danym mieście, środowisku. Kto go ruszy? Z nimi trzeba rozmawiać o kupowaniu meczów. Ale z nimi nie ma kto rozmawiać. Więc się szuka winnych gdzie indziej.

Wszystko to są działania pozorowane. Wymyślono „brigady tygrysów”. I co? I nic. Wydać kupę pieniędzy na ich podróż, złapać one kogoś za rękę? Nie. I po co to wszystko?

— A jak pan potraktował powtórzenie meczów?

— Z humorem. Jak na to ta decyzja zasługuje. Było to tak ostre cięcie, że... nikomu nie zaszkodziło. Znowu tylko wydano niepotrzebnie pieniądze.

— Ech! Nic się panu nie podoba. Pewnie nowy regulamin rozgrywek ligowych też nie.

— Dlaczego pani tak sądzi? Podobna mi się to, co jest robione rozsądnie, w zgodzie z rzeczywistością, realizm i — co najważniejsze — skutecznie. A nowy regulamin wprowadził tylko bałagan. Przed drużynami postawił aż trzy cele: pierwszy — rywalizacja o najwyższe miejsca, żeby się drużyna mogła załapać w europejskich pucharach, drugi — żeby musiała bronić się przed barażami, i trzeci — żeby nie spadła z ligi. Dla mnie cały ten regulamin — to nieporozumienie. Jeśli z ligi odchodzi czwarta część drużyn, to ma to przynieść wzrost poziomu? Wątpię!

— Powiedział pan, że zetknął się z łódzką rzeczywistością i jeszcze nie ma wszystkiego przemyślanego. Ale przecież z jakimś programem, z jakimiś założeniami pan tu przyszedł.

— Chciałbym, aby drużyna LKS była lubiana w Łodzi i w Polsce, żeby na mecze LKS przychodziły znowu tłumy kibiców, żeby liczyła się w lidze, ale nie w środku tabeli, żeby walczyła o dobre miejsce w czołówce.

— Nie powiem, że to mało. Jak pan chce to osiągnąć?

— Nie tylko ja. Jest nas trzech: ja, Andrzej Pyrdol i

Krzysztof Buliński. Uważam ich za współpracowników, a nie asystentów. Różnica nie tylko w nazwie, ale w odpowiedzialności.

— W zarządzie LKS nie ma jeszcze wiceprezesa do spraw piłki nożnej. Czy będzie pan miał wpływ na jego wybór?

— Chciałbym, aby to był partner a nie figura. Stanie się to w najbliższych dniach i mam nadzieję, że będę miał jakiś wpływ na to.

— W Łodzi mamy dwie drużyny w pierwszej lidze. Jak pan się na to zapatruje?

— Normalnie. W RTS Widzew pracowałem przez 7 lat. W Widzewie byłem wcześniej niż Ludwik Sobolewski. Teraz Widzew jakby grał nieczysto. Podbijają bebenek, chcą więcej płacić. Po co to? Wiem doskonale, że jak są dwie drużyny w mieście, to trzeba je traktować jednakowo. Nie wolno jednej faworyzować, ustawiać przeciw drugiej.

— Kiedyś mówiono, że wystarczy jedna. Było tak, kiedy Widzew wszedł do pierwszej ligi.

— Pamiętam. I dlatego tak mówię. Wówczas faworyzowano LKS. Myślę, że już nie ma co dyskutować, ile w Łodzi ma być drużyn pierwszoligowych. Są dwie i to dobrze. Obie powinny być dobre. Ale jak obie grają gorzej i jeszcze próbują sobie podbić zawodników, to jest niepotrzebne i szkodliwe.

— Cieszy się pan z powrotu do Łodzi, do LKS?

— Tak. Wreszcie mogę sobie poodychać łódzkim powietrzem.

— Oby ono panu znowu nie zaszkodziło!

— Dlaczego miałoby mi zaszkodzić? W Szczecinie też nie było łatwo. Pracy się nie boję. Trudność też. Jak już sobie ustawie skład, to już go nie zmieniam. Piłkarz może mieć prawo do jednego, dwóch meczów słabszych. Taki przypadek nie może być kryterium jego oceny. Jak ktoś się będzie lenił, to są na to sposoby, żeby wziąć się do roboty. A jak i to nie pomoże, to ostatecznie się rozstaniemy. Ja nie mam powodu, aby narzekać na miniony sezon w pierwszej lidze. Pogoń miała 103 bramki w 30 meczach, to wypada po 3 i coś tam na mecz. Wcale dobry wynik. Dlaczego LKS nie mógłby mieć podobnego rezultatu? Potrzeba tylko pracy i zaufania działaczy.

— Ale niegdyś go zabrakło.

— Czy musimy do tego wracać?

— Nie. I życzę panu, aby osiągnął pan wreszcie sukces w LKS.

— Dziękuję. Wierzę w to!

Rozmawiała:  
BOGDA MADEJ



Foto: Witold Werner



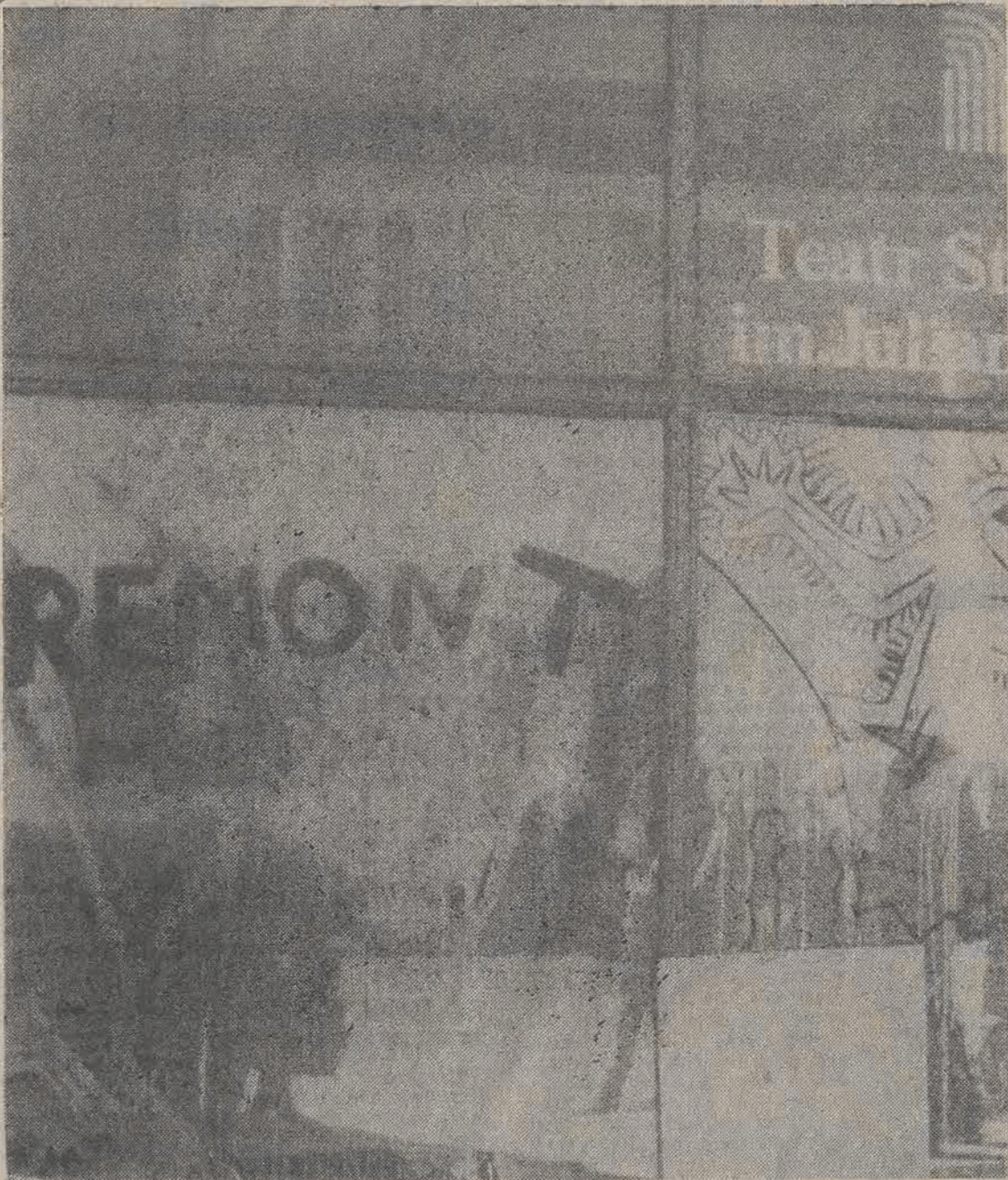


Foto: Witold Werner

## Lato w mieście

ze str. 1

nieje szachowe z komputerem, ping-pong, gawędy o zwierzętach, wyprawy do ZOO, Ogrodu Botanicznego, wakacje z filmem, poranki z zagadkami, kajak sprawnym rąk, itp. DDK Łódź-Polesie poleca Akcję Lato '87 „Wakacje z filmem” w każdą środę o godz. 10.00, imprezy z cyklu „Spotkanie z bajką” oraz dyskoteki.

Bomba sezonu (według gustu) było „Lato z Radiem” w Arturówku, w sobotę, 18 lipca o godz. 9.00-19.00. W programie: spotkanie wędkarzy, wyścigi kajakowe, pokazy WOPI, Wesoły Autobus na żywo, giełdy hobbistów, kiermasz handlowy Sokoł. Imprezy dla dzieci: Kralna Baśni (niezwykłe rekwizyty filmowe), przedstawienie teatralne, mały Textilcross, czyli bieg po uśmiech i szczęście, wielobój kolonii letnich. Bezpośrednia transmisja radiowa z tej plenerowej zabawy trwała od 9 rano do 12.00, więc przy odrobinie szczęścia było można pozdrowić ciocię Zosię.

Czynna buda również galerie sztuki: w Muzeum Sztuki np. do 31 lipca odbywają się pokazy Marka Boyle'a i jego rodziny (Wlk. Brytania), twórczych wspólnie reliefy inspirowane naturą. W Ośrodku Promagandy Sztuki w Parku im. H. Sienkiewicza — polski rysunek współczesny, a w Galerii BWA przy Wólczańskiej, Małe Formy Grafiki, i tak dalej, i tak dalej.

Nie chcą wyprzedzić świetnego „Kalejdoskopu”, czyli łódzkiego przewodnika kulturalnego, który w podwójnej objętości (na lipiec i sierpień) leży w kioskach „Ruchu”. Z niego dowiedzieć się można wszystkiego, co w tych gorących miesiącach dzieć się będzie w Łodzi. Tu chciałoby się westchnąć: gdyby wszystkie łódzkie instytucje kulturalne dopasowały się do „Kalejdoskopu” poziomem artystycznym, a do Centrum Informacji Kulturalnej, wydawcy tegoż przewodnika, poziomem organizacyjnym, można by wtedy powiedzieć, że jest bardzo dobrze — to jednak osobny temat. Każdy wszakże, kto interesuje się kulturą i sztuką powinien regularnie kupować „Kalejdoskop”.

Dodać muszę, że łódzki od-

dział Polskiego Stowarzyszenia Jazowego, w momencie zbierania przeze mnie materiałów, nie miał jeszcze spracyzowanego planu wakacyjnych imprez, gdyż nie wszystkie szczegóły były z wykonawcami dogadane. Mówi się o występach Ewy Demarezyk, ale to nie pewnego, poczekajmy więc na oficjalne potwierdzenie.

Ten dość skromny zestaw propozycji nie jest oczywiście szczegółowy i nie wyczerpuje wszystkiego, czym zostaniemy uraczeni (prasa codzienna informować będzie o tym na bieżąco). To, co zostało pominięte, nie wyróżnia się jednak spośród wakacyjnego jadłospisu ani smakiem, ani świeżością.

Pozostaje jeszcze niesmiertelne ZOO, baseny kąpielowe, niektóre boiska sportowe otwarte dla chętnych i Lunapark ze zderzającym się sprzętem, przyciągający jednak — może z braku alternatyw — tłumy ludzi. Przeglądając się i przysłuchując rozkładając się, przyszłorocznym odpuściom gości, trzęsąc się (jak one) o los naszych dzieci, nieświadomych oczywiście zagrożenia. A może zresztą to tylko mnie tak się widzi, przezwrażliwionemu profanowi technicznemu; jeśli maszynierzy owe krecą się, legalnie przecież, to znaczy, że ktoś odpowiedzialny wyraził na to zgodę. Nie ma więc powodów do obaw. A może wynika to z prostego faktu, że widziałem kiedyś z bliska wiedęski lunapark na Praterze, zrozumiawszy więc, że po tym doznaniu już tylko Disneyland może podobać się bardziej, no, może jeszcze Tivoli w Kopenhadze. Niepotrzebnie więc się czepiam?

Wróćmy jednak do Łodzi. Wydaje się, że nie wykorzystujemy tego, co już mamy. W kilku parkach wznoszą się dumnie muszle koncertowe, wykwiły nieograniczonej pomysłowości niegdyśszych architektów. Gdy im się przyjrzy z bliska, widać poważne rysy w tej pomnikowej powadze, a mówiąc zwyczajnie — po prostu się sypia. Stoją jednak, tyle, że bezużytecznie. Nie bardzo wiadomo było do tej pory, kto powinien się nimi opiekować, teraz wiadomo już, że przejmą tę opiekę naczelnicy dzielnic. Póki co, póki eksperci nie zdecydowali o przyszłych funkcjach i przeznaczeniu budowli, można

by je częściej wykorzystywać do (na razie) tradycyjnych celów. Bo, jak dotąd, nie różnią się one, pod względem przydatności i częstotliwości wykorzystywania, od Stadionu Dzieci, Stadolecia. Tyle że na stadionie, ktoś od czasu do czasu strzyże trawę dla królików.

Można by przenieść z przedwojennej tradycji, bez obawy pomówienia o herezję, np. koncerty czy występy teatru leśnego. (Jeżeli funkcjonują przedwojenne ustawy, dlaczego nie mogłyby funkcjonować niektóre tradycje?). Nie wszyscy aktorzy wyjeżdżają na urlopy, mogliby więc (nawet artyści różnych scen — jak w teatrze TV) wystąpić wspólnie przed łódzką publicznością. Istnieje także łódzka orkiestra „Odcin”, jakby specjalnie utworzona do (no, powiedzmy, między innymi) letnich koncertów w plenerze. Założyciel i dyrygent Stanisław Gerstenkorn, jak mnie pamięć nie myli, obiecywał, że uwzględni i takie warunki prezentacji swego repertuaru, a



Foto: Witold Werner

jest on lekki, łatwy, itd. Tymczasem, orkiestra, po kilku koncertach publicznych i jednym (badaż) telewizyjnym, zniknęła zupełnie z powierzchni życia muzycznego. A letni ogródek w restauracji „Tivoli” jest jakby wymarzony, obok parkowych muszli, do takich występów. Oczywiście, grubo przed 13.00.

Ostatecznie można napić się piwka i popatrzeć na ładne dziewczyny, ale to można robić zawsze i wszędzie. Na szczęście. Piwka można napić się np. przy stoliku wystawionym przed Aperitif-barem przy Piotrkowskiej, na oczach przepływającego leniwie tłumy. Za wypicie takiej samej butelki takiego samego piwa w pobliskim podwórku, gdzie mało kto zagląda, można zarobić kolegium za spożywanie alkoholu w miejscu publicznym i w ten sposób stracić przeznaczone na urlop oszczędności.

Większość łodzian (i nie tylko) wybierze więc telewizję, bo i program letnio-wakacyjny i można wleźć w każdej chwili do wanny bez obawy o nabawienie się rzesistki czy innej atrakcyjnej przypadłości „do wzięcia” w publicznym basenie kąpielowym (może nie jest aż tak źle, jednak kolor wody nasuwa takie czarne myśli).

Wygrali więc ci, którzy pojechali sobie gdzieś precz, daleko od miasta. Nie dość, że mają pogodę, także imprezy, ciekawe i atrakcyjne, upodobały sobie te wypoczynkowe miejscowości. Bo „Fama” w Świnoujściu, Festiwal Sopotki w Sopocie, Pienie Country w Mrągowie, Warsztaty Jazzowe '87 w Chodzieży (lipiec, sierpień), V Festiwal Testu Ulicznego w Jeleniej Górze i okolicach (1.08.—17.08), w Koszalinie Spotkania Filmowe „Młodzi i Film” (11—17 sierpnia), XIII Festiwal Chopinowski w Dusznikach (11—15 sierpnia), a Międzynarodowe Kursy Interpretacji Muzycznej w Łanucie (3—31.07).

w tamtejszym Muzeum. Oprócz tego V Festiwal twórczości niekonwencjonalnej „Film poza kinem” we Wrocławiu, Przegląd Filmów Dziecięcych w Rymnowie Zdroju, Obóz Muzyczny Jeunesse Musicale w lipcu — Międzykolo Garwolina, Letnie Warsztaty Muzyczne w Wenecji kolo Żnina, prezentacje amatorskich zespołów artystycznych w resortach spraw wewnętrznych we Wrocławiu, Festiwal Piosenki Czeskiej i Słowackiej w Ustroniu woj. śląskiego (będzie się można pokłócić na widowni), XXIV Tydzień Kultury Beskidzkiej w Wiśle, Szczyrku, Żywcu, Makowie Podhalańskim i Krakowie, XV krajowe spotkanie z pieśnią i piosenką o ojczyźnie (kiedy będzie międzynarodowe?) w Krasniku woj. lubelskiego, Bydgoskie Impresje Muzyczne w Bydgoszczy, itd., itd. To tylko niektóre, pierwsze z brzegu imprezy. Wszędzie, tylko nie w Łodzi. Myśmy już mieli swoje pięć minut: Interfashion. To nam powinno wystarczyć na cały najbliższy rok. Do zobaczenia.

### MAREK KOPROWSKI



### Mówi: Eugeniusz Iwanicki

- Proszę podać swoje personalia.
- Eugeniusz Iwanicki, urodzony w roku 1933 pod Nieświeżem, syn Pawła.
- Stan rodzinny?
- Zonaty, jedno dziecko, dwoje wnuków.
- Jest pan podejrzanym o uprawianie działalności wywiadowczej. Upředzam: cokolwiek pan powie, może być obrócone przeciwko panu.
- Tak jest.
- Czy przynajmniej się pan do zorganizowania i przeprowadzenia wywiadu i to nie raz?
- Przynajmniej się.
- To zostanie zaliczone jako okoliczność łagodząca. Kiedy rozpoczął pan działalność wywiadowczą?
- Dziesięć lat temu.
- Z kim pan się dotąd kontaktował? Proszę wymienić osoby, do których się pan zwracał i zajmowane przez nie stanowiska.
- Stefan Czarnecki, dyrektor Domu Książki, Stanisław Niedzielski, dyrektor Drukarni Dzielowej, Władysław Klimczak, szef salonu „Venus” w Krakowie, Jerzy Wilmański, literat, Wiktor Zin, profesor Politechniki w Krakowie, Daniel Passent, dziennikarz, Szymon Kobylński, grafik.
- Starczy. Czym się pan kieruje przy wyborze indagowanych przez siebie osób?
- Ich osobowością oraz działalnością na polu literatury, sztuki, szeroko pojętego służenia kulturze polskiej.
- Czy udając się na wywiad ma pan z góry przygotowane pytania, czy też wylaniają się one w trakcie rozpracowywania rozmówcy?
- Niektóre pytania przygotowuję i czekam aż interlokutor otworzy się, wówczas zadaję mu pytania à propos.
- Jak pan utrwała wypowiedzi? Notuje pan, a może posługuje się sprzętem mechanicznym?
- Używam magnetofonu, żeby niczego nie uronić i nie przekreślić wypowiedzi.
- Magnetofon? Aha... Oczywiście marki zagranicznej?
- Tak, Philips.
- Na czyich jest pan usługach? Od kiedy?
- Na usługach redakcji tygodnika „Odgłosy”. Od 1976 roku.
- Czy pracuje pan dla jakichś ościennych ośrodków przekazu?
- Utrzymuję kontakty z redakcją „Karuzeli”, „Szpilek” i radiem.
- Ma pan jakieś powiązania z siatką?
- Mam. Zona wysłała mnie często do miasta po sprawunki. Zabieram wtedy ze sobą siatkę.
- Droga konfidencka została ustalona, że dla odwrócenia uwagi od swej działalności wywiadowczej pisuje pan powieści.
- Zgadza się.
- Proszę wymienić w kolejnym porządku wszystkie tytuły, wydań, lata wydania.
- „Zmowa obywateli”, 1969, „Powódź w Dolinie Psów”, 1970, „Powrót żurawii”, 1971, „Dzień pierwszy i następny”, 1973, „Deszczowy sezon”, 1973, „Labirynt”, 1973, „Więcej niż przyjaźń”, 1980, „Wyprawa po białe runo”, 1982, „Klasztor dla ateistów”, 1984 — to wszystko nakładem Wydawnictwa Łódzkiego. Oprócz tego w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej — „Miałem dobrego pana”, 1973, oraz w Krajowej Agencji Wydawniczej — „Władca zielonych ogrodów”, 1984, oraz „Kubuś i słowik”, 1986. Wydałem też w 1970 r. przewodnik „Łask i okolice”, a w r. 1982 — „Anegdota o przesławnym mieście Łasku”.
- Nie więcej pan nie wydał?
- Jeszcze córkę za mąż.
- Czy interesuje się pan jakimiś obiektami?
- Kobiętkami? Tak, ale to było dawno.
- Nie kobietkami, lecz obiektami!
- To właśnie kobiety były obiektem moich zainteresowań. Gdy miałem osiemnaście lat, poznałem dziewczynę imieniem Jola. Poszliśmy do kina i tam...
- To są szczegóły bez znaczenia. Czy jeździł pan za granicę?
- Tak.
- Dokąd?
- Do Bułgarii, do Związku Radzieckiego, do RFN, Jugosławii, Rumunii, na Węgry, do Austrii...
- Z kim się pan tam kontaktował zaraz po przybyciu?
- Gdy jeździłem do redakcji zaprzyjaźnionych czasopism, najpierw z sekretarkami.
- Znowu kobiety, a zeznał pan, że przestały one pana interesować.
- Tak, ale sekretarki wiedzą o wszystkim najlepiej, a mój szef żąda ode mnie dokładnych informacji.
- Szef? Jak szef? Imię, nazwisko!
- Lucjusz Włodkowski, redaktor naczelny „Odgłosów”.
- Sprawdzimy. Czy za swą działalność otrzymuje pan wynagrodzenie w walucie wymiennalnej?
- Tak. Gdy dostaję przy wypłacie grubszy banknot, pięć lub dziesięć tysięcy złotych, wymieniam go na drobne.
- Jakże są pańskie zainteresowania poza uprawianiem inkryminowanej działalności?
- Kolekcjonowanie książek typu pamiętniki, dzienniki, biografie. Interesuję się też motoryzacją, mam malucha, właściwie polowe, bo resztę przez osiem lat zjadła rdza.
- Aha, krytykuje pan?
- Tak, od czasu do czasu zajmuję się krytyką literacką.
- Podobno pisuje pan też do rymu?
- Owszem, popełniałem kiedyś wiersze.
- Jakże treści usiłuje pan przemycić w swych książkach?
- Penetracje eschatologicznych treści determinujących egzystencję ludzkości.
- Proszę się wyrażać zrozumiale. To nie gazeta.
- Usiłuję przedstawić człowieka w warunkach współczesnego życia.
- No, teraz zrozumiałem. Czy w swych utworach uwzględnił pan znaki przestankowe — myślniki, kropki, przecinki, średniki? Znaki zapytania?
- Uwzględniłem.
- To kolejna okoliczność łagodząca. Jest pan wolny...
- ...żonaty od trzydziestu lat.
- ...ale zobowiązuje pana do meldowania się w sekretariacie redakcji „Odgłosów” przynajmniej dwa razy w miesiącu.
- Oczywiście! Każdego trzynastego odbieram pensję, a w połowie miesiąca honoraria autorskie.

Przysłuchiwał: ADAM OCHOCKI



# Wyzwolenie

## ŁUDZIE!

To już zwycięstwo  
To już pokój  
To Sztandar Biało-Czerwony  
Zalopotał na Polską Rzekę:  
Wisła!  
Nad ruinami Zamku Królewskiego  
Nad Żywą Warszawą!  
To Ziemia wyzwolona z kroków  
Najeźdźcy oddycha głęboko  
Świeżością poranka —  
Słyszycie?  
To wierzba — nasza pradawna  
Rozumiała się i szumi i szumi  
I szumi Pieśnią Nowego Dnia!  
To Wolność wybuchła  
To już Polska Rzeczpospolita!  
Rudocza!  
Ludowa!

Spójrzcie!  
Ile radości i słońca na twarzy  
Narodu!

Więc Przyjaciele:  
Wychylimy nasz kielich Świętejszy  
Do dna! Na szczęście!  
Na wieczne czasy!

# Polonez

Ziemia, która kwitnie wiosną,  
Owocujesz jesienią,  
Kocham Cię mocno  
Ziemio...

Wł. Broniewski

## Ojczyźnie!

Z bólu który strzeże samotność  
Człowieka  
Wznoszącego ręce ku niebu  
Z gorczy długiego oczekiwania  
Z czasu dymiącego niepokojem  
Z popiołu i krwi z poranka  
Południa i zmierzchu rysuje  
Twój kształt

Z uderzenia liścia  
Z szuwaru wikliny i glogu  
Z krwistej malwy i przydrożnego  
Świątka z ulic których tony  
W pieśni odżyły  
Z miłości i cierpienia  
Rysuje Twój obraz

## Ojczyźnie!

# Niebo lipcowe!

## Kraju mój!

Słowem gorącym rzeźbię Twój obraz  
Kieśki i stawiana się  
Stokrotnym echem  
Manifestu  
Otwieram niebo pieśnią dźwięczną  
W barwionej powrocie w radosny  
Lipiec  
W historii żywych i umarłych  
W historii Niepodległych —  
I wiem — wszystkie drogi i ścieżki prowadzą  
Do Ciebie — jak miłość w sto barw ubrana  
Kraju mój — nieugięty jak spiż spiętrzony  
Nad głową!

Niech będzie błogosławiony każdy kłos zboża  
Dzwoniący w dionizach człowieka  
Każda wierzba szumiąca nad Rzeką pełną  
Gwiazd i ziemia w której strumień życia  
I ziarno rozkwitające o różowym świecie!

Niech będzie błogosławiona pamięć  
Wrysowana w pejzaż naszych Dni — niech  
będzie  
Błogosławiona Czerwień i Biał  
Spływające z kolorowych okien w głąb  
Naszych serc!

W Święto Lipcowe!

Oglądanie takiej wystawy jak Małe Formy Graficzne, to ciężka fizyczna praca. Pot się z człowieka leje, drzewie kark od schyłania, oczy boją od patrzenia na migotliwe, odbijające światło lamp i okien i wszystko inne, co się w pomieszczeniach wystawowych znajduje, szyby, szukając za nimi graficznych obrazków. A nadzwyczajna różnorodność owych obrazków potęguje psychiczne napięcie. Sasiadują obok siebie, na niewielkiej przestrzeni, realizm z abstrakcją, groteska z czystą formą geometryczną, filozoficzna, gadatliwa opowieść ze znakami graficznym, folklor ze stylizacją naiwną, niemal XVII-wieczny sztylet czy XIX-wieczny drzeworyt z prawie fotograficznym obrazowaniem... Do tego wielkość kultur estetycz-

# Tysiąc małych krasnoludków

nych i symboliki z różnych, odległych zakamarków świata, wreszcie różnorodność traktowania materii graficznej sprawia trudności odbioru takiej ekspozycji. I każdy, prawdziwie zainteresowany grafiką, miniaturą człowiek, chciałby mieć te wszystkie obrazki wydrukowane w pięknym albumie, u siebie w domu. Wtedy dopiero można by było mówić o ich oglądaniu! Marzenia... marzenia...

Zginaj więc, ciekawy sztuki człowiek, kark i męcz swoje nie-szczęsne oczy. A może przed sztuką trzeba na kolanach? Ja obojętnie wolałbym jednak obcować z nią siedząc w wygodnym fotelu, a przynajmniej na stojąco.

Na Małe Formy Grafiki Łódź 87 nadeszło 2957 grafik 716 artystów z 47 krajów. Do wystawy jurorzy zakwalifikowali 1020 prac 407 twórców z 44 krajów. Dodajmy jeszcze towarzyszące ekspozycje byłych laureatów w innych galeriach Łodzi. Cyfry mówią same za siebie!

Impreza — jak i poprzednie — jest bez wątpienia wydarzeniem artystycznym. Czy jest ona lepsza od poprzednich czy gorzej — niech się nad tym zastanawiają buchalterzy sztuki. Ja ją uważam za wydarzenie, bowiem pozwala mi ona wyjrzieć w szeroki, szeroki świat, spojrzeć na dzieła ludzi ze stron odległych i zupełnie bliskich. A to wiele. Nie tak często mamy ku temu okazję. A traktując miniaturę graficzną jako rodzaj specjalnie intymnej wypowiedzi, ten kontakt wydaje mi się szczególnie cenny.

A cóż my tam znajdujemy w tej mnogości sposobów formalnych i pomysłów?

Rod Ewins z Tasmanii błądzi w powietrzu sześcioma nagimi ciałami, jak prawdziwy żongler piłeczkami lub maczugami cyrkowymi...

Zbigniew Dolatowski z Polski slega po formie szesnastocznego portretu trumiennego, tworząc stylizowane, miniaturkowe kartki z „albumu rodzinnego”...

Lilibel Dewey z San Fran-

cisco tworzy abstrakcyjną „E-rotyka”, działającą ekspresją formy, klimatem emocjonalnego śpiewa. Zostaje też słuszenie uhonorowana Medalem, udaje się jej bowiem zamknąć, na niewielkich płaszczyznach, nie-byrwały ładunek życia i energii...

Konstantin Czmutin z Leningradu rysuje głębokim światłocieniem ziemniaki. Poprzerastane, stare ziemniaki... nie więcej. Ale robi to w sposób interesujący.

Joe Price z Kalifornii przypominał sobie zabawy surrealistów i umieszcza jajko w ślusarskim imadle...

Stephen Mumberson z Londynu wykonuje w technice metalu relief przeobrażony, czarobiałe zwierzę, trochę dziecinne, trochę prymitywne, na pewno sympatyczne. Z kolei Arpad Müller z Budapestu cieszy się w swoim ekslibrisie

technicznym urokiem starego miedziorytu.

Grafik z Chińskiej Republiki Ludowej, Zhuo Huanhang, w kolorowym drzeworycie sztorcowym, oddaje z ciepłym uśmiechem i techniczną wirtuozerią całą rodzinę prześmiesznych pand zajądających pędy bambusa. Inni jego koledzy przedstawiają pejzaże utrzymane w konwencjach tradycyjnych, charakterystycznych dla sztuki chińskiej. Zgola odmiennie są krajobrazy Japończyków. Sadao Sakurai rysuje pejzaż, który mógłby być śmiało pejzażem z Bretanii, a samotne drzewa Sigeaki Tomura i Hiroshi Takahara doskonale mieszczą się w europejskiej konwencji estetycznej.

Pejzaże są zresztą dość częstym tematem małych grafik: realistyczne, stylizowane i uproszczone, romantyczne, wreszcie w charakterze poetyckich impresji albo abstrakcyjnych kompozycji, sugerujących za ledwie możliwość pejzażu.

W grafice Ana Galvao z Portugalii pobrzmiewają jakieś odległe echa naskalnych malowideł...

Calrois Calado z Kanady slega po kobiecie akt w swoich barwnych litografiach. Podobnie Czechosłowak Jiří Brada i Hana Capova z Pragi, podobnie Jürgen Wenzel z Drezni, Ali İsmail Türeman z Turcji, Erik Heynink z Belgii, Zbigniew Czap z Krakowa, Jurate Stauskaltes z Wilna, najwinnie świeży Richard Spare z Londynu, ekspresyjny Ariel Mlynarszewicz z Buenos Aires i kilku innych jeszcze artystów posługuje się aktem dla różnych celów. Muszę jednak z żalem przyznać, że nurt erotyczny jest dość słabo wykorzystany na obecnej prezentacji. A przecież wydawałoby się, że mogło, że mała forma graficzna, najbardziej kameralna i możliwych, wręcz intymna, jest szczególnie wdziecznym polem dla subtelnej i dowcipnej erotyki. A może tyle jest gotymy w dużych formatach, że artyści w małych grafikach wolą filozofować lub estetyzować?

Just za to kilka kobiecych

tworzy. Na przykład Japończyka Miroko Kai subtelny profil dziewczyny, trochę niesamowity w klimacie, z włosami jak fale lub węże. Czechosłowacka Petra Melana barokowy portret Flo-ry. Profil Greczynki autorstwa Toni Nicolaidou, twarz kobiece Wiocha Julie Passa, kreślona ostrą, wyrazistą, jakby demaskatorską linią. Gotycka Dżokonda Genadija Wajala ze Związku Radzieckiego i czar-nooka, pełna ekspresji twarz dziewczyny włoskiej Franco Dugo...

Inny laureat Honorowego Medalu, Igor Podolczak ze Lwowa, tworzy ostrym światłocieniem i głębokimi czerniami własny, dziwny świat, w którym dzieją się sprawy tajemne i niepokojące. Teatr to czy życie? Podobnie autor fantastycznych pejzaży Jindřich Pileček z Pragi, podsuwa naszej wyobraźni lakome kaski. Groteska, satyra, karykatura posługują się Marcelle Malagamba z Argentyny, Karl Georg Hirsch (który w Salonie Sztuki Współczesnej na Piotrkowskiej, jako laureat Medalu z poprzedniej wystawy, pokazuje swoją twórczość), Sime Hannula z Finlandii, Franciszek Bunch z Krakowa, Claude Lagouche z Francji, wreszcie J. Rutanyi z Rygi... Mirasław Pawłowski z Poznania wprowadza nas w świat aktorów cyrkowych, zręcznie łącząc technikę cynkografii z serigrafia, dość rzadko stosowaną przy robieniu małych form graficznych.

Zwróciłem uwagę na kilku twórców, na kilka nazwisk i grafik — jest ich mnogość nie-przebrana. Za każdym małym obrazkiem kryje się czyjaś indywidualność. Każdy z nich jest okienkiem na osobny świat. Każdy wyraża jakąś myśl — głębszą lub obiegową, wytartą — jakąś prywatną koncepcję tegoż świata i sztuki zarazem. I niemal każdy jest dowodem umiejętności technicznych, we wszystkich rodzajach grafiki powielanej: od miedziorytu, suchej igły i innych technik metalowych, poprzez drzeworyt, litografię, serigrafię, offset aż do technik mieszanych i własnych. A nierazko spotyka się też prawdziwe dzieła wirtuozów w stosowaniu graficznej materii, koloru, kształtu, rodzaju papieru.

Na jedną kwestię jeszcze chciałbym zwrócić uwagę, dość istotną jak sądzę, dla charakteru całej wystawy i ekspozycji towarzyszących. Otóż bardzo niewiele jest na nich ekslibrisów. A wszak to one, w opinii powszechnej, na ogół kojarzą się z małą formą graficzną. Otóż artyści odeszli od pretekstu. Wyzwolili się z krępującej zależności, uznając małą grafikę za osobny, niezależny rodzaj twórczości graficznej. Nie oznacza to śmierci ekslibrisu. Trwa on i będzie trwał. Ale rzadziej się innymi nieco prawami, musiał ustąpić pola wobec samodzielnie żyjącej Małej Formy, której przysięgę drogi nie są jeszcze znane. Może zbliży się do książki, jako nowa forma ilustracji, jak sugeruje Andrzej Matynia, autor wstępu do katalogu wystawy? A może znajdzie jakąś inną jeszcze, jeszcze bardziej własną drogę?

Tak zatem trudy swjedzenia opłaca się, choć jest to ciężka robota, boła oczy i kark drzewieje.

ANDRZEJ GRUN



Grafika Igora Podolczaka (ZSRP)

Foto: Wiesław Mieloszczyński

# Bigos hultajski

## Mieszanka firmowa literacko — obyczajowa

### UPOMINEK PIEKARZA

Roku 1764, a pierwszego panowania Stanisława Augusta, piekarz warszawski Gottlieb Szyler upraszał króla, aby raczył przyjąć ofiarowaną mu strudel; była ona długa 7 łokci, na pamiątkę, iż elekcja króla była dnia 7 września, mąka do niej była wzięta od 17 młynów, dlatego, że król urodził się 17 stycznia, rozmaitych przypraw do niej było 32, stosownie, iż tego roku król miał tyleż lat, niosło tę ogromną strudel 9 dzieci Szylera, gdyż miesiąc września, w którym była elekcja był 9 w tym roku. Król obdarzył hojnie dzieci piekarza, podarował tę strudel pp. bernardynkom, gdzie znajdował się niniejszy opis.

„Kurier Warszawski”, 1828, nr 343.

### KRÓLOWA GALICYJSKA

W czasie zajmowania Krakowa przez rząd austriacki, tj. od r. 1796 aż do r. 1808, wyszło rozporządzenie władzy rządowej ówczesnej do wszystkich właścicieli drukarni i księgarzy w Krakowie, że odtąd nie wolno jest w ksiązkach do nabożeństwa, tu w Krakowie drukować się mających, w pieśniach i litaniach nazywać Marię „Królową Korony Polskiej”, jak się to miało dotąd — ale natomiast, aby drukować „królową galicyjską”.

A. Grabowski: „Wspomnienia, t. 1. Kraków 1908.

### POGLĄDOWE KAZANIE

Na pogrzebie Godlewskiego, posła niegdyś z powiatu augustowskiego, kaznodzieja z ambony wychwalający zmarłego bez końca, raptem podniósł głosem zawołał:

— Patrzcie, jak oto duch piekielny ugania się za duszą śp. Godlewskiego posła — i gdy tych słów domawiał, wskazał ku sklepieniu kościoła ręką, i w tej chwili ogromny papierowy klejony smok po sznurze spuszcza się na katedrę, któremu z oczu i pyska zięją płomieniste iskry. Przerażony gmin poniżył głowę przed widziałem i na kolana upadł — aż owo spoza filaru wysuwa się św. Jerzy na koniu z dzidą i rozpoczyna się w powietrzu o duszę zmarłego wścicka między nimi walka. Orator siedzi głośno bijących się obroty i wola w końcu:

— O święty rycerzu pański, nie dozwól piekielnemu szatanowi zapanować nad duszą po-czetliwego szlachcica!

J. Krasieński, Pamiętnik od roku 1790—1821. Poznań 1877.

### UPODOBANIA TREMBECKIEGO

Trembecki aż do namietności posunął upodobanie w paleniu fajki, dlatego też w najpierwszych towarzystwach, a nawet na pokojach królewskich wolno mu było ciągnąć słodkie dymy z sułtańskiego cybucha. Gdy w r. 1769 wyjechał do Paryża, paląc podług zwyczajów fajkę, żołnierzy stojący przy rogatkach:

— Proszę zgasić fajkę! — zawołał — Tu nie wolno wjeżdżać z ogniem.

— Nie wolno — powtórzył z krwią najzimniejszą Trembecki — a więc, Macieju, powracaj do Polski, tam niczego nam nie uzbierać. I istotnie zawrócił i o pół mili od Paryża przenocowawszy, dopiero nazajutrz wjechał do stolicy Francji.

Trembecki całe dnie, zwłaszcza w młodości, na próżnowaniu przepędzał, lecz za to w nocy z takim zapalem pracował, że czytając książkę trzymał zawsze w ręku wielką żelazną kulę, aby loskot upadłej przebudzał go do czuwania nad nauką.

„Pamiętnik dla Płci Pięknej”, 1830, nr 2.

### PODRÓŻNICY

Anegdotę poniższą zapisał Julian Heppen w artykule „Kamienica Fukierowska” („Kurier Warszawski”, 1892, nr 17), zaznaczając, że Dobrycz (Stefan?) posiadał renomowany handel win w Warszawie. Mieścił się w dawnej kamienicy Prażmowskich, gdzie obecnie znajduje się siedziba Związku Literatów Polskich.

Jeden z najczynniejszych literatów warszawskich od r. 1818 zaczawszy, Franciszek Salezy Dmochowski, redaktor wielu czasopism, wydawał od r. 1835—40 pismo „Muzeum Domowe, czyli Czytelnia Niedzielną”, a jednocześnie, bo w r. 1835—36 pod jego redakcją wychodziło pismo „Podróż Malownicza”, z rycinami na kamieniu wykonanymi.

Była to publikacja wielce poczytna i zawierała zbiór podróży i opisy różnych miejscowości.

Otóż redaktor „Podróży” wstąpił razu jednego na szklanczkę wina do handlu Fukiera i zastał tam Józefa Zdanowicza (1786—1839), niegdyś słynnego artystę sceny warszawskiej, ulubienca publiczności przed czasem, w którym Alojzy Gonzaga Żółkowski zdobył to uznanie dla siebie.

Zdanowicz, zoczywszy Dmochowskiego, z którym łączyły go przyjacielskie stosunki, przywitał go słowy:

O! „Podróż malownicza”!

Na co przytomny zawsze i cięty w słowie Dmochowski, bez długiego namysłu, dodał:

Józefa Zdanowicza

Od Fukiera do Dobryczy.

Obecni w sklepie serdecznym wybuchli śmiechem, a dowcipne odezwanie się Dmochowskiego rozniosło się po mieście.

Opracował:  
ANDRZEJ KEMPA







Ten mały w palcie znów nie odpowiedział na jej pytanie, popatrzył tylko ze współczuciem i odwrócił się plecami. Teraz Zofia Aleksandrowna oczekiwała najgorszego. Przerząła ją każdy dźwięk, cisza kryła w sobie zagrożenie. Zofia Aleksandrowna godzinami wystawała przy drzwiach i nasłuchiwała kroków na schodach albo oparta o parapet obserwowała z okna podwórko. Kiedyś zauważyła milicjanta: owładnięta lękiem, zaczęła bezsensownie młotać się po pokoju. Milicjant nie przyszedł do nich — to znaczy, że poszedł wypyttywać sąsiadów o Saszę. Nikt nie może powiedzieć o nim nic złego, ale ludzie łatwo przysparzają innym nieszczęścia, zapewne w przekonaniu, że w ten sposób oddalają je od siebie. Wszyscy wiedzą o sprawie Saszy, cały dom, wszyscy lokatorzy, wszystkich już pewnie wzywali, w wszystkich byli. Siedziała na podwórku na ławeczce pod małym żelaznym daszkiem, oceniała — jak kto przechodził, kto przechodził, jak na nią patrzył, jak się przywitał.

Zadzwoń! z administracji, kazali Saszę przyjść. Zawsze bała się administracji, ale poszła obojętnie. Muszą uzupełnić w aktach Saszę dane z jego miejsca pracy. Pretekst! Administrator, Nosowa Wiktor Iwanowicz, znała od dwudziestu lat, biegał po podwórku jak był mały i jego nieboszczkę mamę znała i on znał ją i Saszę. A teraz ledwo spojrzeli, nie spytał nawet dlaczego Sasza, student, pracuje jako ładowacz — a więc wszystko wie. I pożegnał się ośchle. A urzędniczka w ogóle się nie pożegnała, udawała że jest zajęta.

Ktoś zadzwonił, poprosił do aparatu Siergieja Siergiejewicza, odpowiedziała, że żadnego Siergieja Siergiejewicza u nich nie ma. Po pięciu minutach znów zapytano o Siergieja Siergiejewicza, ale już innym głosem. Potem ktoś zadzwonił i nie nie mówił, Zofia Aleksandrowna słyszała tylko oddech. Kilkakrotnie proszona do telefonu Gałę, sąsiadka, przedtem tak często nikt do niej nie dzwonił. Gałę odpowiadała półsłóvkami, dwuznacznie, kładąc słuchawkę odwracała wzrok i szybko wychodziła do swojego pokoju.

Milica Pietrowna, o którą Zofia Aleksandrowna była kiedyś zazdrosna i z którą obecnie bardzo się zaprzyjaźniła, obiecała pomóc. W młodości Milica miała wpływowych wielbicieli, ale teraz nie było ich już w ogóle, wszystkim o brzydka. Za to Margerita Artemowna, stara Ormianka, często razem siadywały na ławeczce, spokojna, mądra, bystra kobieta powiedziała, że Sasza powinien wyjechać z Moskwy, zaproponowała nawet, żeby udał się do jej krewnych do Nachiczewanu.

Zofia Aleksandrowna uczyła się tego pomysłu. Sama bała się podsunąć go Saszy, poprosiła więc o pomoc współlokatora, Michała Jurijewicza. Taka rada powinna wyjść od mężczyzny.

Michał Jurijewicz, samotny kawaler, inteligentny człowiek w binoklach, kolekcjonował książki i ryciny. Jego pokój, zawalony albumami i teczkami, zastawiony antykami, na zawsze przesłaniał kurzem foliówką, zapachem farby, kleju i tuszu. Swoje skarby Michał Jurijewicz chętnie pokazywał Saszy — lubił z nim rozmawiać. Dziś pokazał Saszy „Piekło” Dantego z ilustracjami Doré. Tłumy kłębiły się w otchłani, mężczyźni, kobiety, dzieci, głowy, ręce, nogi, wieczny ogień pragnień i namiętności, spopielających ludzkość.

Oprócz Dantego Michał Jurijewicz nabył wydane przez „Akademie” „Księgi” Machiavellego.

— Te książki znam — powiedział Sasza — rozważania o władzy dość naiwne, dalekie od naukowego rozumienia jej istoty.

— Możliwe — zgodził się Michał Jurijewicz — jednakże historię pierwiastków dobra i zła warto zgłębiać w każdej epoce, dobra nie powinno się deptać ani w imię wielkich idei, ani małych. Proszę wybaczyć, Sasza, że się wtrącam, ale Zofia Aleksandrowna opowiedziała mi o pańskich kłopotach, niech pan tylko nie ma jej tego za złe. Wie pan, strzeżonego Pan Bóg strzeże. Dlaczego nie miałby pan wyjechać na jakiś czas do ojca lub wujka?

— Wyjechać? — zdziwił się Sasza. — Nie widzę powodów. Sprawa nie może rozstrzygnąć się beze mnie. Mama przesadza. Zwyczajna historia, dużo się teraz takich zdarza, niestety. Chcą mnie aresztować? Wykluczone. A gdyby nawet, to równie łatwo aresztują mnie u ojca albo u wujka. A może mam się ukrywać?

Roześmiał się, On Sasza Pankratow ukrywa się przed swoimi.

Niewątpliwie obawy Zofii Aleksandrowny są nieco przesadzone — zgodził się Michał Jurijewicz. — Ale taka już jest natura spraw politycznych: z każdą apelacją wciąga pan coraz większą liczbę ludzi, sprawa rozrasta się jak śnieżna kula.

Sasza ze zdziwieniem popatrzył na Michała Jurijewicza. Ten bezpartyjny, daleki od polityki człowiek trafnie ujmował istotę rzeczy.

— Wierzę w Partię — powiedział Sasza — i nie mam zamiaru przed nią uciekać.

Sasza przyjechał na Stary Plac rano. Na miejscu ściany Kitajgorodzkiej zwały pustką jamy i rozpadliny, pod śniegiem leżały sterty prastarych cegieł. Sasza wszedł do dużego szarego budynku Centralnej Komisji Kontroli Partijnej, w hallu na tablicy informacyjnej odnalazł numer gabinetu Solca i wspiął się na pierwsze piętro.

Wzdłuż ścian długiego korytarza siedziała młodziśka koleżka. Z gabinetu Solca wyszedł młody człowiek w garniturze z niebieskiego bostonu, w białej koszuli i krawacie. Sasza uznał że to petent, a widząc, że w kolejce nikt się nie poruszył, otworzył drzwi.

W gabinecie stały dwa biurka: przy drzwiach niewielkie biurko sekretarza, zaś w głębi — duże, przy którym urzędował Solc — ciężki, ze zmierzwiionymi siwymi włosami, krótką szyją, mięsistym nosem i zajęca wargą, podobny do znakomitego szachisty Emanuela Laskera. Obok Solca stał krągły człowiek o bezosobowej urzędniczej twarzy, podsuwał papiery do podpisu.

Widząc że Solc jest zajęty, Sasza przycupnął na krześle przy wejściu. Solc spojrzeli na niego — był krótkowidzem, nie poznał wchodzącego, wiedział, że nikt nie może wejść bez pozwolenia, a skoro wszedł i usiadł, to znaczy że sekretarz go wpuścił, a więc wszystko jest w porządku. Urzędnik nadal podsuwał papiery. Papiery były wyrokami sądowymi w sprawach karnych prowadzonych przeciwko członkom partii. Sasza zrozumiał to, gdy przez chwilę posłuchał uwag urzędnika podającego nazwisko skazanego, stał partyjny, paragraf kodeksu karnego i wyrok. Paragrafy wylicza-

ne przez urzędnika nie Saszy nie mówiły. Solc bez słowa podpisywał papiery, marszczył brwi, dolna warga obwisła, twarz miała wyraz zmęczony i niezadowolony, wydawało się, że Solc myśli o czymś innym, jeszcze bardziej przykrym niż wyrok na podstawie których skazanych usuwano z partii.

Sasza domyślił się, że trafił tu przypadkowo, nie w porę, że nie ma prawa przebywać w tym gabinecie, ale nie czuł się na siłach wstać i wyjść. Jeżeli wyjdzie, to nie wiadomo czy jeszcze kiedyś będzie miał sposobność dostać się tu ponownie, i czy w ogóle będzie miał taką sposobność. Dopiero teraz uświadomił sobie, że milczący ludzie w korytarzu czekają na posłuchanie, i że najprawdopodobniej czekają tak od miesięcy.

Solc wybuchnął złością — siwa głowa zatrząsa się, palce wściekle zabębniły o biurko. — Ośiem lat za czterdzieści metrów kabla! — Paragraf dwudziesty szósty, punkt „b”.

— Paragraf... paragraf... Za czterdzieści metrów kabla ośm lat!

Urzędnik pochylił się nad papierami, przebiegł wzrokiem tekst. Jego twarz znów przybrała obojętny wyraz. Akta są w porządku. Solc może sobie krzyczeć, ale nie ma prawa zmienić wyroku.

Solc również wiedział, że nie może zmienić wyroku; oskarżonego należy wykluczyć z partii, i on, Solc, musi to zrobić, wydawanie gnienu na urzędnika nie ma sensu.

Wzrok Solca znów zatrzymał się na Saszy. Ten siedzący przy drzwiach nieznajomy też go demerwował. Kto to jest? Co tu robi i dlaczego?

ANATOLIJ RYBAKOW

## Dzieci Arbatu

(6)

W tej samej chwili do gabinetu wszedł sekretarz, ów młody człowiek w granatowym garniturze, którego Sasza wziął za petenta. Był to doświadczony sekretarz, pracował z Solcem od wielu lat, i w mgnieniu oka zorientował się w sytuacji. Solc jest wściekły z powodu jakiegoś wyroku, drażni go obecność nieznajomego, a ten chłopak dostał się do gabinetu przez jego, sekretarza, niedopatrzenie, gdy wyskoczył do bufetu po papierosy.

Wyciągnąwszy drżący palec w stronę Saszy Solc spytał:

— Czego on chce?

W szybkim spojrzeniu sekretarza Sasza wyczytał: mów o co chodzi, prędko!

Sasza wstał.

— Usunięto mnie z Instytutu.

— Z jakiego znowu Instytutu? — wrzasnął Solc. — Co tu ma do rzeczy Instytut? Po co wy tu wszyscy przylazicie?

— Z Instytutu Transportu — powiedział Sasza.

— Towarzysze jest z Instytutu Transportu — poinformował rzeczowo sekretarz. — Student. Usunięto go z tej uczelni.

I dodał półgłosem:

— Podejść do niego.

— Usunięto mnie za gazetkę ścienną i za konflikt na tle wykładów z ekonomiki — powiedział Sasza podchodząc do Solca.

— Jaka gazetka, jaka ekonomika? Co wy mi tu opowiadacie?

— Uznano to za dywersję polityczną.

Solc wytrzeszczał oczy na Saszę, najwidoczniej nie rozumiejąc co się w ogóle dzieje, dlaczego ten człowiek znalazł się w gabinecie, dlaczego wysłuchuje wyroków sądowych, dlaczego opowiada o jakiejś gazetce, o jakichś wykładach...

Urzędnik uśmiechnął się nieznacznie, poblatłwie, z wysokości swojej służbowej pewności siebie: ot, do czego dochodzi, kiedy lekceważy się ustalony porządek postępowania i załatwiania spraw. Właśnie dlatego, że Solc nie rozumie tego porządku, różni tacy zwracają się do niego z pominięciem właściwych instancji.

Uśmiełek urzędnika nie uszedł uwadze Solca. Spoglądając na Saszę społem, powiedział nieoczekiwanie spokojnie:

— Wezwijcie wszystkich.

Sasza stał nadal.

— Czego tu sterczyć! — wrzasnął Solc. — Idźcie stąd!

Sasza zaczął się cofać. Sekretarz gestem polecił mu podejść.

— Kogo wezwać? — spytał półgłosem, kładąc przed sobą formularz z pieczęcią „Kolegium Partijne CKKP WKP(b)”.

I dopiero wtedy Sasza uświadomił sobie, że Solc wezwie wszystkich związanych z jego sprawą. Po raz pierwszy w ciągu tych miesięcy serce zabiło mu gwałtownie, poczuł ucisk w gardle.

Sekretarz patrzył na niego wyczekująco.

— Baulin, sekretarz organizacji partyjnej — zaczął Sasza.

— Bez funkcji, bez funkcji — przynaglał sekretarz, zapisując nazwiska.

— Glińska, Janson, Runoczkina... kolegów można?

— Mów, szybko!

— Polużan, Kowalew, Pozdniakowa — mówił Sasza słysząc jak za jego plecami urzędnik wylicza nazwiska i paragrafy.

— Wszyscy?

— Wszyscy.

— Na kiedy?

— Można na jutro?

— Zdażysz zawiadomić?

— Zdażę.

— Zasuwać.

W drzwiach Sasza obejrzał się. Solc patrzył na niego społem.

„Kolegium Partijne prosi Was o zgłoszenie się dn. 17.01. br. o godz. 15.00 do towarzysza Solca”. I nazwiska wezwanych. Nie było tylko nazwiska Saszy, o nazwisko nikt go nie zapytał. To zabawne, ale nielotne. Sprawa wygrana. Sasza w to nie wątpił. Solc nie potrzebuje żadnych instancji, żadnych papierów, żadnych decyzji. Wezwać wszystkich i pomyśleć tylko: gdyby nie wtrągnię do gabinetu, gdyby nie to, że sekretarz chciał zatuzować swoje niedopatrznie — nie by nie wyszło. I ten uśmiełek urzędnika, który rozszerzył Solca. Ale udało się! Udało!

A jednak coś mąciło radość. Ci milczący ludzie na ławkach wzdłuż ścian, cisi, cierpliwi, oczekujący rozstrzygnięcia losu swoich najbliższych. Dyktatura proletariatu musi się bronić, to jasne, oczywiście! Ale powietrze w tamtym korytarzu przesycone było ludzkim nieszczęściem. I ten nieznany człowiek, skazany na ośm lat za kradzież czterdzieści metrów kabla. Czy on, Sasza, nie odegrał przypadkiem w jego losach fatalnej roli, czy nie zagarnął dla siebie współczucia, przeznaczzonego dla kogoś innego?

— Ale był przecież młody, tak bardzo chciał żyć, i starał się myśleć o sobie, o tym, że jego nieszczęście się skończy, a nie o ludziach, niemo siedzących wzdłuż ponurych ścian urzędu.

Glińska rozmawiała właśnie przez telefon, gdy Sasza ignorując sekretarza wszedł do jej gabinetu. Spojrzała na niego ze zdziwieniem, potem ze strachem — poznała od razu, zasłoniła słuchawkę dłonią.

— Czego chcecie?

Sasza położył przed nią wezwanie.

Przeczytała, wymamrotała niepewnie:

— Dlaczego mnie? Z tym to do Baulina.

Wyglądała żalostnie.

— Proszę podpisać!

— Dlaczego, dlaczego? Idźcie do komitetu — mamrotała Glińska.

— Polecono mi dostarczyć to wam. Podpiszcie!

Odłożyła wreszcie słuchawkę, wzięła do ręki wezwanie.

— Byłeś u Solca? — spytała, przechodząc nagle na „ty”.

— Byłem.

Patrzyła na wezwanie. A więc wmięszano się Kolegium Partijne CKKP... Oczywiście nie obeszło się bez Riazanowa, Budiagina, można się było tego spodziewać. I to w przeddzień Zjazdu. Wyobraziła sobie jak na Zjeździe Solc, albo Jarosławski, a może nawet Rudzutak przytoczy w wystąpieniu przypadek Pankratowa jako przykład bezdusznego podejścia do przyszłego młodego specjalisty. Wyrzucił z ostatniego roku, a ona podpisała decyzję. Tak, podpisała, podporządkowując się stanowisku egzekutywy. Ale uprzedzała przecież Baulina: przyszedł ośm lat, zalecający wstrzymanie odsiewu studentów na ostatnich latach studiów. Nie posłuchał, niech teraz nie to piwo.

Popatrzyła na Saszę, uśmiechnęła się:

— Wciąż ta siódma szkoła, Wierszyki, epigramaty...

Sasza podsunął wezwanie.

— Podpiszcie.

— Przyjdę.

— Proszę podpisać!

Zmarszczyła brwi, złożyła podpis przy swoim nazwisku.

Baulin przeczytawszy wezwanie uśmiechnął się zjadliwie.

— Wysoko włączysz, nie spadniesz?

I podpisał się z tak obrażoną miną, jakby Sasza wyrządził mu osobistą krzywdę.

Janson popatrzył na Saszę zza grubych szkielek okularów, w jego oczach błysnęła nadzieja, spytał, które to piętro.

W grupie wezwanych krążyło z rąk do rąk.

— Przycisną ich — ucieszył się Runoczkina. — No, Kowalew, bądźcież się teraz kajać?

— Saszka, zuch jesteś — pochwaliła Pozdniakowa.

Ostrożna Roza Polużan spytała cicho:

— Zwycięstwo?

Solc najwidoczniej zapomniał o Saszy. Patrzył ze zdumieniem jak do gabinetu wchodził ośmiu osób i myślał, że wyznaczyl jakieś zebranie. Ale w terminarzu nie było żadnego zapisu.

Glińska wyciągnęła do niego rękę; byli znajomymi. Solc poznał ją, z niezdarną galanterią wstał zza biurka. Okazało się, że jest bardzo niski.

— Sprawa Instytutu Transportu — oznajmił sekretarz.

Solcowi nie to nie mówiło: nie znał sprawy Instytutu Transportu, a Saszy nie poznał. Mimo to z przyzwyczajenia wskazał wszystkim krzesła.

Glińska położyła przed Solcem gazetkę. Gazetka uparcie zwiłżała się w rufon. Glińska musiała przycisnąć jej róg dziurkaczem i maszynowym kubkiem na ołówki. Solc z roztargnieniem obserwował jej poczynania.

C.D.N.

Tłum.: MICHAŁ B. JAGIELLO



# Polemiki • Listy • Opinie

## Z ZAŁĘCZĄ WIELKIEGO W SPRAWIE „AWANGARDY XXI W.”

Pod koniec roku szkolnego zostaliśmy zaproszeni przez wiceprezidenta Jana Noskę do wzięcia udziału w obozie „Awangarda XXI w.”. Wypoczynek miał być bardzo atrakcyjny, o czym poinformowali nas początkowo nauczyciele i dyrektorzy naszych szkół, a później organizatorzy naszego obozu. Zgodnie z obietnicami spodziewaliśmy się spotkania i dyskusji z przedstawicielami świata kultury i sztuki, licznych atrakcyjnych wycieczek, możliwości wypoczynienia rekreacyjnego sprzętu wodnego oraz sprzętu radiofonicznego i nagłaśniającego. To co zastaliśmy rozwiło nasze nadzieje na udany wypoczynek. Zaskoczyła nas przede wszystkim zła organizacja.

Już pierwszego dnia rozczarowało nas przedstawienie zajęć programowych, czyli licznych spotkań z przedstawicielami władz lokalnych, wiceprezydentem m. Łodzi, władzami, KL PZPR, ZSMP, ZHP. Zajęcia odbywały się w świetlicach, podczas gdy na dworze była piękna słoneczna pogoda. Nasze niezadowolone było potęgowane długimi oczekiwaniami na zaproszonych gości. Zresztą nie tylko na nich. Czekałmy również na autobusy, które miały zawieźć nas do Łasku odległego o około 80 km. Wycieczka do Łasku, jak się okazało, nie była naszą jedyną wycieczką. Następnego upalnego dnia mieliśmy okazję zwiedzić Zakłady Urządzeń Galwanizacyjnych i Lakierniczych — ZUGiL w Wieluniu. Na naszą prośbę komenda obozu zezwoliła na 20-minutowy spacer po ulicach miasta. Była to nasza jedyna zorganizowana piesza „wycieczka”.

Przed nami jeszcze 3 dni do końca obozu. W dalszym ciągu cechuje nas optymizm i wiara w zdolności organizacyjne naszej kadry. Pragniemy, aby nasz pobyt w Nadwarciańskim Grodzie zakończył się miłym akcentem. Wierzymy, że przyszłe obozy „Awangarda XXI wieku” będą w pełni udane.

### GRUPA UCZESTNIKÓW

Załącznik Wielki, 12.07.1987 r.

List Grupy uczestników obozu „Awangarda XXI wieku”, który publikujemy powyżej, dobrze o nich świadczy. Jeśli wybrano ich, jako awangardę, to mają prawo spodziewać się, że wszystko będzie przebiegało według najnowocześniejszych, najlepiej przemysłowych i przygotowanych wzorców. Poczuł się partnerami i takiego potraktowania spodziewali się. Rozmawiałem z dużą grupą tej młodzieży i uważam, że dokonano dobrego wyboru. Jest to młodzież myśląca, krytyczna, ciekawa życia i usiłująca mieć własne zdanie. Tym bardziej nie wolno jej już u samego początku rozczarowywać złą organizacją, nie dotrzymywaniem obietnic, nie przemysłowymi programami.

Organizowanie obozów „Awangarda XXI wieku” nie jest złym pomysłem, ale odnosi wrażenie, że zbyt pochopnie spełniamy, że do końca nie przemysłujemy, że mającym zbyt wielu „ojców”, których pomysły i inicjatywy nie ma kto koordynować. Obozów „Awangarda XXI wieku” było więcej. Byłoby więc dobrze, gdyby przy ich ocenie wzięto pod uwagę wszystkie doświadczenia; dobre i złe, aby w przyszłości nie eliminować „Awangardę” — jak sama nazwa wskazuje — powinna przetrwać, a nie wlecieć się w ogień i powieścić też wory. Też jestem optymistą i wierzę, że tak będzie. Ale, aby tak było, trzeba już wkręcić przystąpić do przygotowywania obozów na lato 1988 roku.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

## PRAWDA, SPRAWIEDLIWOŚĆ I MITOLOGIA

Można powiedzieć, że prawem mijanego czasu jest idealizowanie przeszłości. Już starożytni Grecy wymyślili „wiek złoty”. Teraz ten zabieg powtarzają inni i to zbiorowo bądź indywidualnie. Dziwić się nie ma czego, protestować podobnie. Ale przecież takie mitologizowanie przeszłości może wywołać wiele zamieszania w umysłach młodych i spowodować czasem niepowetowane szkody. A więc trzeba wyjaśnić. I tylko dlatego podejmuję polemikę z felietonem Włodzimierza Krzemińskiego pt. „Mieczysław Grydzewski w Londynie”.

„Cóż za znakomite pismo!” — pisze Włodzimierz Krzemiński. — Niewątpliwie najlepszy periodyk kulturalny w historii naszego piśmiennictwa. Jest to prawda. „Historia co tydzień” Kazimierza Koźniewskiego — książka o historii polskich tygodników — zaczyna się od omówienia „Wiadomości Literackich”. Nie byłoby zatem powodu do polemiki, gdyby nie drobny zabieg, do jakiego ucieka się Włodzimierz Krzemiński. Felietoniście, niewątpliwie, wiele wolno. Felietonista, niewątpliwie, powinien posługiwać się skrótami. Ale w tych skrótach powinien być niewątpliwie precyzyjny.

Twórca „Wiadomości Literackich” i ich jedynym przez cały okres redaktorem — ale też i wydawcą — był Mieczysław Grydzewski. „Wiadomości Literackie” istniały — jak pisze Włodzimierz Krzemiński — „stały się dziełem jego życia i pomnikiem jego chwały”. Ale też warto wiedzieć, że pierwszy numer „WL” ukazał się z datą 6 stycznia 1924 roku, a więc przeszło 43 lata temu, w zupełnie innej epoce i porównywalnie tego pisma z jakimkolwiek z dzisiejszych jest po prostu nieuczciwe lub dowodzi całkowitego oderwania od rzeczywistości.

Włodzimierz Krzemiński skarży się, że „nie ma już takich redakcji, które by zamawiały u autorów wiersze, artykuły, eseje. W każdej redakcji siedzi tyłu pisarzy statutowych, że całkowicie wystarczy, aby wypełnić tamy pisma, jeszcze nawet dla nich miejsca brakuje. Pisarz nie będący statutowym redaktorem przeprosza, że żyje...”. Wysłał do redakcji rękopisy, redakcja nie odpowiadała, nikt go nie inspirował, nie nagabuje, pisarz czuje się więc niepotrzebny. A za czasów „Wiadomości Literackich”, bywało inaczej. Wręcz idealnie, jest to „godne pozazdrośnienia”. Czytelnik, który nie zna historii polskiego czasopiśmiennictwa pomyśli, że to wszystko prawda. A tymczasem jest to mitologizacja przeszłości i fałszowanie teraźniejszości.

W Polsce mamy tyle różnych pism, że każdy może znaleźć dla siebie to najbardziej odpowiadające. To — po pierwsze. Po drugie, natomiast — redakcje mają prawo do zamawiania u takich pisarzy i takie teksty, które ich zdaniem znajdują uznanie u Czytelników. W redakcjach nie siedzą krasnoludki z workami pełnymi pieniędzy, aby finansować pisma. W dobre reformy pisma, które nie utrzymują się na rynku, znikną z niego. Za czasów Mieczysława Grydzewskiego było podobnie. „Wiadomościom Literackim” wystarczył nakład przekraczający 8 tysięcy egzemplarzy, aby stały się finansowo samowystarczalne. Początkowo miały one nakład 3 tysiące egzemplarzy. Dziś dla uzyskania samowystarczalności potrzeba od 70 do 100 tysięcy egzemplarzy nakładu. Inne czasy, inne ceny, inne warunki.

Trudno porównywać, tym bardziej, że Mieczysław Grydzewski „był spadkobiercą wielkiej kamienicy w samym centrum miasta, Żłota 8 — pisze Kazimierz Koźniewski we wspomnianej książce „Historia co tydzień”. — Pieniądże z kamienicy wręcznie gospodarką przew. Antoniego Bormana służyły „Wiadomościom Literackim”. — Było to zupełnie co innego niż jest dziś, czego Włodzimierz Krzemiński nie chce przyjąć do wiadomości.

W liście do Jana Lechonia z 16 marca 1941 roku przesyłam z Londynu do Rlo de Janeiro Mieczysław Grydzewski przedstawia sytuację „Wiadomości” i pisze: „W Warszawie biliśmy 12 000, sprzedawaliśmy około 9 000, tutaj bije się 5 500, sprzedaje około 5 000”. Dziś na przykład „Odgłosy” mają około 50 000 nakładu, a takie choćby „Prak i Nie” w Katowicach około 120 000 egzemplarzy. Jest różnica?

„Wiadomości Literackie” zaraz po reformie waluty w Polsce w maju 1924 roku kosztowały 50 groszy, a niedługo później już do 1939 roku — 80 razy. Jak przynajmniej do Kazimierza Koźniewskiego było to tyle, ile niejednemu Polakowi starczało na całodzienną utrzymywanie. W porównaniu z ceną „WL” dziś cena czasopiśmiennictwa jest znacznie niższa. „Wiadomości Literackie” miały na początku objętość 4 stron (kolumn) i z tego jedną poświęcały na... ogłoszenia. Inaczej czwartą część numeru — to były ogłoszenia. Świąteczny numer z 1924 roku miał objętość 14 kolumn i 7 zajętych ogłoszenia, czyli połowę numeru. Po co więc to idealizowanie? W latach trzydziestych „WL” ukazywały się w objętości 6 lub 8 kolumn. Numery specjalne miały i po 26 stron. Ale część numeru poświęcała białą ogłoszeniem, bo ich fundatorzy utrzymywali po części pismo.

Nie wszystkim podobalo się to pismo. „Wiadomości Literackie” — pisze Kazimierz Koźniewski — „były atakowane z lewa i prawa. (...) Miał do nich pretensje autentyczna lewica rewolucyjna, nie lubiła ich ortodoksyjni pilsudczyści. (...) wszyscy na „Wiadomości” walczyli i szczekali. Niektórzy otwarcie, inni ciżej i z rezerwą”.

W Londynie nie było lepiej. Obrażał się na „Wiadomości” Julian Tuwim za zamianę „endeckiej mordy nienawistnej” na „kol-tunską” i za depeszoną 28 października 1941 roku z Nowego Jorku: „Dalsze publikowanie moich prac stanowiąc niepożądane”. Decyzji tej nie zmieniał, a Mieczysław Grydzewski dowiadywał się o tym, co się dzieje u Tuwimów w Nowym Jorku od Ireny Tuwim, choć listy do „Najdroższego Juleczka” pisywał nadal.

Witold Gombrowicz w 1980 roku (w „Dziennikach”) napisał o „Wiadomościach”, że „stały się idealnym wyrazem miernego wykończania się emigracyjnego, trudno o komentarz starannie wygłansowany, wyprasowany, uczesany, wylizany, i „comme il faut”. Uważał, że wielu ludzi piszących na emigracji nie zostawiało dopuszczonych do „Wiadomości”.

I na koniec prawda o tym, jak to Mieczysław Grydzewski zabiegał o autorów. „Jeśli redaktor był w stanie tak ułożyć dwie dobiegające strony — pisze wspomniany już Kazimierz Koźniewski — to znaczy, że skutecznie działał już cały mechanizm: czytelnik sięgał po „Wiadomości”, bo miał tam nazwiska pierwszorzędnej wielkości, literaci pedzili na Żłota 8 z tekstami (Grydzewski lansował nie najprawdziwszą legendę: „Wiadomości” do nikogo się o tekst nie zwracały...), gdyż druk w „WL” nobilitował, a pismo trafiało do najbardziej wyrobionego grona czytelników, z kolei wtykało to na nakład, nakład przyciągał ogłoszenia, ogłoszenia pozwalały świetnym pisarzom płacić wysokie ryczałty i honoraria. I tak dalej...”. Ale to były zupełnie inne czasy.

Już w Londynie Mieczysław Grydzewski zwrócił się do wymienionych przez Włodzimierza Krzemińskiego pisarzy (Kazimiera Ilakowiczówna przebywała w Rumunii a nie na Węgrzech), z prośbą o materiały do przygotowywanej antologii „Kraj lat dziecińczy”, która ukazała się w marcu 1942 roku w Londynie, a w której nie było wspomnień ani Jana Lechonia, ani Juliana Tuwima. Nie chodziło wcale o „Wiadomości”. Zresztą z listów Mieczysława Grydzewskiego wynika, że w wielkiej czytelni British Museum — puszył się w związku na haloty — samotnie siedzi Stefania Sakowska i przepisuje teksty do „Wiadomości” z książki i „jakieś artykuły Klaczki z dawnych paryskich „Wiadomości”. Nie było to więc wszystko takie idealne jakby chciał zakochany w swojej młodzieży Włodzimierz Krzemiński.

A dziś? Proszę popytaj kierowników działów literackich, czy rzeczywiście nie proszą o teksty różnych pisarzy? Proszę, czy zawsze dostają? Oni wiedzą dokładnie. Zostałem jedynie upoważniony do poinformowania, że na przykład w „Odgłosach”, przeszło połowa objętości pisma zajmowana jest tekstami autorów nie mających w redakcji etatów. Zatem i to nie jest prawdą, że wszystko piszą sami redaktorzy.

I dlatego w imię prawdy, sprawiedliwości, aby oddać jej tym, komu się należy i aby obalić narastające mity pozwolę sobie przypomnieć kilka faktów i ustosunkować się do nich. Uczynięm to również i dlatego, że nie tak nie ożywia życia umysłowego, jak polemiki.

WITOLD BOROWY

## HONORY DLA ŁÓDZIANINA — KARLA DEDECIUSA

Gerhard Goltz — z Hamburga — nadesłał list, donosząc nam z dumą, że we „Frankfurter Allgemeine Zeitung” ukazała się wzmianka o Karlu Dedeciuse, który w RFN wstąpił się przekładowi literatury polskiej i który kieruje Instytutem Niemiecko-Polskim w Darmstadt.

W załączonym wycisku z „Frankfurter Allgemeine Zeitung” autor wzmianki, Stefan Dietrich pisze:

„Przed kilku dniami otrzymał tytuł doktora honoris causa Wydział filologiczny Lubelskiego Uniwersytetu Katolickiego. Wydział postawił go na równi z największym żyjącym poetą polskim, Czesławem Miłoszem, który otrzymał ten tytuł w 1981 roku. Niemiec, do tego ewangelik — doktor honorowy Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego — tego jeszcze nie było. Zresztą dotychczas nikt przed Dedeciusem nie tłumaczył wierszy polskiego poetę na język niemiecki”.

Autorem listu, Gerhard Goltz niepokoi się, czy my w Łodzi nie przeoczyliśmy przypadkiem tej wzmianki w „FAZ”. Nie, na do-datek 4 lipca 1987 roku w numerze 27 „Odgłosów” publikowaliśmy obszerny — całokolumnowy — wywiad Krzysztofa A. Kuczyńskiego z Karlem Dedeciusem. Obawiamy się natomiast, że być może wywiad ten przeoczono w Hamburgu. Zaraz po ukazaniu się niniejszej wzmianki, ową wzmiankę i wywiad wysłaliśmy Gerhardowi Goltzowi.

Dziękujemy też za wiadomość, że emerytowany przewodniczący Łódzkiego Socjalnego RFN — Georg Wannagel też pochodzi z Łodzi.

Swoją drogą warto byłoby, aby Uniwersytet Łódzki również rozważał możliwość uhonorowania zasłużonego dla literatury polskiej łódzianina. Jest to nasza poważna propozycja pod adresem UL!

REDAKTOR DZIURNY

## UPIÓR Z UL. OBROŃCÓW STALINGRADU STRASZY NADAL

W nr. 30 „Odgłosów” z dnia 26 lipca 1986 roku opublikowałem list p.t. „Upiór z ul. Obr. Stalingradu”, w którym wskazałem na „twórczą pracę” ekip remontujących budynek byłej szkoły podstawowej nr 3 im. Szymona Konarskiego przy ul. Obrońców Stalingradu nr 27. Dziś, po roku takiego „remontu” sytuacja zmieniła się na tyle, że wzrosła liczba wybitych szysz w budynku, zdemolowanych podłóg, zniszczonych kafli pieców opałowych i kuchennych. Wywieziona na branie tablica informująca, jakie to przedsięwzięcie remontuje budynek zniknęła, a sterła cegiel gromadzonych na podwórku w zaskakującym tempie zaczęła mazać. Natomiast, pojawiający się od czasu do czasu robotnicy, coraz częściej zaczynają odczuwać pragnienie w wysuszonej gardłach, od czasu do czasu niktą w drzwiach usytuowanego po drugiej stronie ulicy sklepu monopolowego, bądź też wybierają się do pobliskiej cukierni „Wuzetka” po zakup znacznie tańszego wina.

Szkola Podstawowa nr 1, im. Szymona Konarskiego została zli-

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie” publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

kwidowana w latach sześćdziesiątych, kiedy to bardzo wpływowi ludzie zdecydowali, że w Łodzi szkół podstawowych jest zbyt dużo i należałoby ilość ich zmniejszyć. Budynki zlikwidowanych szkół zajęły inne instytucje państwowe i społeczne. (Np. szkoły przy ul. Limanowskiego i Żubardkiej). W przypadku, kiedy nie znalazł kontrahenta na te budynki zaczęły one być dewastowane. Swego czasu nie wykorzystano nawet Narodowego Funduszu Rozwoju Szkół, aby doprowadzić je do stanu używalności. Obecnie stan tych budynków jest tak niezadowolający, że sama reka cofa się z kieszeni, gdy próbują nas pomóc w wypłacie jakichkolwiek sum na NFPS. Po co mamy pomagać społecznie niszczyć i partaczom?

A swoją drogą sprawą remontu budynku szkolnego przy ul. Obrońców Stalingradu 27 powinna zająć się IRCh-a lub inne organa kontrolne.

MIECZYSLAW KOZAK

## „NOC NA DWORCU KALISKIM”

W związku z artykułem pt. „Noc na Dworcu Kaliskim” zamieszczonym w nr. 23 tygodnika z 6 czerwca 1987 r. kierownictwo stacji przedstawia swój pogląd na tematy w nim poruszane oraz ustosunkowuje się do niektórych stwierdzeń wyrażonych przez autora.

Ogólnie wiadomo, że po wielu latach „spalania” z planu rozpoczęcia się rozbioru stacji pomieszczeń w celu przygotowania placu budowy pod nowy dworzec. Wiąże się to z określonymi trudnościami dla pasażerów. Ze względu społecznych nie była brana pod uwagę możliwość całkowitego wyłączenia dworca z obsługi podróży na czas budowy nowego. Z opinii znanych kierownictwu stacji pasażerów korzystających na co dzień z tego dworca są zadowoleni, że nareszcie zaczęło się coś dziać i obecne trudności zostaną zrehabilitowane po oddaniu do użytku nowych obiektów dla obsługi podróży, co jest przewidziane w r. 1991.

Jednocześnie zdajemy sobie sprawę z tego, że występują pewne niedociągnięcia ze strony PKP, które staramy się eliminować na bieżąco, w miarę możliwości. Jednak po przeczytaniu przedmiotowego artykułu nasunie się stwierdzenie, że co by się nie zrobiło to i tak będzie źle!

Zacznę od zdjęć.

Zdjęcie górne przedstawia rozbiorę starego szaletu dworcowego. Jest zrobione w ten sposób, że nie widać barierki oddzielającej teren rozbioru od pozostałej części peronu 1. Zdjęcie dolne jest tak wykonane, że rozbiorę starych kas biletowych i materiałów z niej pochodzących blokuje całe przejście na główne schody i dalej na peron 5 i 6. Jednak uważamy czytelnik! doświadcze, że zdjęcia górne, że przejście dla pasażerów jest zapewnione.

Główny budynek dworca od kilku lat jest wyłączony z eksploatacji z uwagi na jego złe stan techniczny i przeznaczony do rozbioru. Nie wiem, czy znalazłby się ktoś, kto podjąłby decyzję co do powierzenia remontu po to tylko, żeby go rozebrać. To samo dotyczy placu dworcowego, który zostanie zamknięty 6 lipca br. Oba baraki są w trakcie rozbioru, a więc brudna ściana, „do której przyklepiono niepozorną tabliczkę” już zniknęła. Szalety dla podróży kolejarze nie ukrywali, ponieważ nie jest to obiekt przenośny, lecz stały. W tym miejscu został zaprojektowany, wybudowany i tam go użytkujemy, lecz sama „Planta Wrońska” stwierdza: „informacja o trasie informacji” jest...!

Jeśli chodzi o pozostałe tablice informacyjne, to większość z nich została już rozmieszczona, natomiast pozostałe zostaną rozmieszczone po zamknięciu placu dworcowego oraz będą uzupełniane w trakcie dalszej przebudowy, gdy będzie zachodziła konieczność zmiany ruchu podróży.

Ciekawe co przeszkadza autorce hasło na temat obrony cywilnej? Gdzie i kiedy była niechlujna i niekompletna tablica rozkładu jazdy? Komu i kiedy w ciągu trzech godzin nie udało się wydobyć z ukrycia naczelnika stacji? Dlaczego J. Wrońska operuje ogólnikami, że były brakowały konkretów?

Nadmieniam, że w każdy dzień (sobota, niedziela) dyżurnie do godz. 21.00 jedna osoba z kierownictwa (naczelnik lub zastępca) i wystarczająco kilkunastu z dyżurnych ruchu, który jest w każdej chwili obecny na posterunku, poinformuje, gdzie ta osoba się znajduje (jeżeli jest na terenie stacji a nie w biurze).

Jeżeli chodzi o puste okienka kasowe, to zgłaszam, że widziałem „na własne oczy czynne wszystkie kasy”.

Co do gastronomii dworcowej, to nie będę się szczegółowo wypowiadał, ponieważ cała podlega przedsiębiorstwu „WARS”, co na pewno J. Wrońskiej jest wiadome, bo nie każdy jest tak ograniczony jak kolejarze, którym „zwyyczajnie nie przyszłoby to do głowy”.

Chcę zwrócić uwagę na to, że na Dworcu Łódź Kaliska za mojej pamięci nikt się nie zatrzymał a przerywy w pracy placówek całonocowych są praktykowane nie tylko w „Warsie” (choćby na sprzątanie, a poczekalniami jest czynna cała doba bez żadnej przerwy).

Przy peronie trzecim był wymieniany tor nr 9 i połowa peronu była wyłączona z ruchu. Teren ten był ogrodzony barierkami, co zauważyła J. Wrońska, ale i tak źle, że bez oświetlenia ostrzegawczego. Peron trzeci jest oświetlony dobrze i barierki to były dobre widoczne. Przejście służbowe (nie na przejazd przez tor) odda Włodkiewicz. Przejście oznaczone tabliczką „Przejście zabronione”. Też źle. Zabezpieczyć je drutem kolczastym, może jeszcze pod napięciem?

Kilka zdań na zakończenie.

Dworzec Kaliski jest bardzo potrzebny wszystkim łódzianom i nie tylko. Dziwi jedno, że przez tyle lat kiedy „spadał z planu” nie było w naszym tygodniku takich artykułów, a konkretnych wcale.

Teraz kiedy jest to oczywiste, że nadeszła już pgr, kiedy wszystko, co tyczy się tego dworca ruszyło z miejsca, ukazał się pierwszy artykuł, który przedstawia kolejarzy jako ludzi o „małym florze inteligencji”. Ciekawi nas, co by pomyślał sobie czytelnik korzystający z tego dworca, który Jolanta Wrońska nazwała zwykłym chłwiec?

„Ale „ODGŁOSY” to tygodnik społeczno-kulturalny.

Łódź, 1987.07.08.  
Z poważaniem

inż. ANDRZEJ KARPINSKI

Do wiadomości:  
1. Rejon Przewozów Kolejowych w Łodzi  
2. KZ PZPR Kolejarzy w Łodzi

O sytuacji Dworca Łódź Kaliska pisaliśmy. Co prawda — sporo czasu temu. Publikowaliśmy nawet makietę przyszłego, odnowionego dworca. Ale pamięć ludzka jest zawodna. Krytyka — jeśli nawet przesadzona i niesprawiedliwa — bardziej zapada w pamięć. Za wyjaśnienia dziękujemy. Najważniejsze, żeby pasażerowie byli zadowoleni. PKP jest przecież dla nich!

REDAKTOR DZIURNY

## REDAKCJA — CZYTELNICY

Przepraszamy pana Jerzego Banasińskiego, któremu w poprzednim numerze „Odgłosów” chochlik rakarski zmienił nazwisko.



Ulewny deszcz zataił zarys sierpa Księżyca i nocny marsz odbywał się w ciemnościach jak smola. Daleko w górach północnej Nikaragui szliśmy po omacku, jak ślepicy, potykając się i przewracając. Każdy z nas trzymał się plecaka idącego z przodu: tworzyliśmy 60-osobową „stonogę” pokrytą błotem. Wcale nie cicho przeszliśmy koło zamkniętego szalasu. Przez szpary w deskach migały odbłaski ognia. Psy zaszczekały, z wewnątrz doszły płacz dzieci, nerwowy, śpiewny głos kobiety usiłował być ucieszny. Koło drzwi przechodzili contras, niosąc ze sobą wojnę.

Przez 5 godzin szukaliśmy miejsca na naszą zasadzkę — drogi, po której jeździły oddziały sandinowców — ale w końcu rozbiłszy obozowisko, beznadziejnie zagubieni, na pastwisku z krowim łajnem. Oficerowie naradzali się z naszym przewodnikiem, miejscowym wieśniakiem, którego zmusili do pokazywania drogi. Wkrótce oni też rozsiadli się, zapominając o rozstawieniu wart, czy nawet o wysłaniu artylerdy. Wkrótce wielu ludzi zaczęło gadać tak głośno, że chyba było ich słychać w Managui. Zapalali zapaliki, migali latarkami. Trzy dziewczyny, które wzięły ze sobą zaczęły nagle chichotać w niekontrolowany sposób, gdy jeden z nich głośno zastanawiał się, z którymi z nich będą dziś spać. Oficerowie bezskutecznie bąkali o zaciemnienie i ciszę. Tak spędziliśmy noc koło miejsca zwanego El Bote. Przypominaliśmy bardziej beładną tłuszcę niż armię partyzancką w kraju przeciwnika.

## BYLI TO „NOWI CONTRAS”

Ich wojna zaczęła się znowu, zapoczątkowana 100 milionami dolarów pomocy, która w końcu dotarła do oddziałów. Wiele z nich szkolonych — teraz oficjalnie — przez amerykańskich doradców. Po miesiącach, nawet latach bezczynności w obozach w Hondurasie bardzo chcieli wykazać się w prowadzonej na całego wiosennej ofensywie. Stawka była następna porcja pieniędzy od sceptycznego Kongresu USA. Dlatego też po raz pierwszy od 3 lat naczelne dowództwo głównego ugrupowania contras, FDN (Nikaraguański Front Demokratyczny) zgodził się, by dwaj

Ta sama wojna widziana od strony contras i sandinowców

# Dżungla pełna czających się mężczyzn

## ROD NORDLAN

dziennikarze amerykańscy towarzyszyli ich siłom w głąb Nikaragui, aby z bliska przyjrzeć się ich wojnie. Właśnie dlatego, kiedy w końcu dotarliśmy do Managui, sandinowcy zabrali nas z powrotem, aby pokazać tę samą wojnę, widzianą z ich strony.

Przez prawie miesiąc fotograf „NEWSWEEKA”, Bill Gentile i ja szliśmy z mozołem w górę rzeki, wdrapywaliśmy się na szczyty, przedzieraliśmy przez dżunglę wraz z regionalnym dowództwem FDN. W czasie kwietniowej suszy i majowej ulewnej dzielił się z nimi trudny marsz przez 3 prowincje północny kraju. W ciągu pierwszych dni zanim dotarliśmy do tego podmokłego pastwiska prawie 160 km od granicy z Hondurasem, ci contras wyglądali imponująco. Przedstawiciele władz USA, którzy zrobili nam briefing nt. Ameryki Środkowej przed wyjazdem, powiedzieli, że działalność contras zapowiadała się obiecująco na 3 zasadniczych frontach: zapewnienia sobie trwałego pobytu w Nikaragui, uzyskania przewagi nad sandinowcami poprzez atakowanie celów wojskowych oraz chęć najwęższego z nich — zjednania sobie większości chłopstwa. Jak szybko zobaczyliśmy, naprawdę byli w kraju i to w ogromnej liczbie, może nawet 10 tys.; ich morale było wysokie, nowe plecaki wypchane nowoczesnym ekwipunkiem, a niebo aż huczało od silników samolotów transportowych C-47, zrzucających amunicję — dzięki uprzejmości CIA.

Wydawało się również, że myślą wyłącznie o swojej sprawie, przynajmniej początkowo. Pewnego dnia, po tygodniu pobytu w terenie, marsz rozpoczął się o piątej o świcie. Ludzie szli wprawdzie 2 km w górę lodowatej rzeki, zanurzeni po biodra, potem po niemal pionowej ścieżce wdrapali się do „pleca”, jakim jest dzień w dżungli. Tuż przede mną w kolumnie szedł jeden contra, 30 lat — wyglądał na 50, zgity pod 50 kg lufy moździerza i skrzynki z granatami. Przed wojną był wieśniakiem, jak większość niższych rangą contras. Teraz pot lał mu się z czoła i tłustego karku, jęczał, gdy musiał przejść okrzemkiem przez powalone drzewo. Wydawało się, że tylko wierzący może być skłonny do takiego poświęcenia. Wszyscy contras mają pseudonimy i tylko ich używają. Ten wybrał sobie „Ronald Reagan”, kiedy usłyszał słynne powiedzenie prezydenta: „Ja też jestem contra”. Miał o jedną ranę od kuli więcej od swego imiennika i znacznie mniej zębów.

Wystartowali uzbrojeni w niemal zaraźliwą pewnością siebie. Dowódca 150-osobowego oddziału, z którym szliśmy, 28-letni były działacz studencki, który nazywał siebie „Attyla” chełpił się, że wygrał w tym roku — co jest znaną śpiewką contras. Po drodze natrafiliśmy na „Tonía”, jednego z najbardziej opiewanych i zdolnych dowódców contras, z oddziałem 1200 ludzi. Powiedział, że właśnie spędził 4 miesiące na polu walki, mieli 35 starć i 19 razy otrzymywali zrzucone z C-47 o szarych bruchach. Jego straty: 9 zabitych i 12 rannych. Jego prognozy były bardziej wstrząsające: — Jeśli w tym roku damy z siebie wszystko, możemy wygrać wojnę w Waszyngtonie o dalszą pomoc. Ta wojna jest znacznie łatwiejsza — to stałe robienie zasadzek. Jeśli będzie nowa pomoc, możemy wygrać w przyszłym roku.

„Attyla” i jego porucznik, „Czarny Orzeł”, wyruszyli z nowego „wysuniętego stanowiska dowodzenia” contras w Nikaragui, 40 km w linii prostej od granicy z Hondurasem, z wyraźnymi rozkazami: przyłapać się do innych grup i zaatakować bazę artylerii sandinowców koło San José de Bocay. „Attyla” miał nawet egzemplarze amerykańskich map rozpoznania lotniczego, pokazujące pozycje sandinowców z taką dokładnością, że nanieśliśmy na nich rozmieszczenie każdej latryny. Na przenośnym komputerze „Datotek” radziła odkodowywał meldunek ze sztabu: „Wszystkie jednostki kierować się całą naprzód ku wyznaczonym celom”. Ale dowiedzieliśmy się, że sandinowcy ściągali posiłki do San Jose, więc zamiast tego zaatakujemy boczną drogę do Waslala. Później było tak wiele patroli sandinowców na tej drodze, że oficerowie postanowili bez rozkazów zaatakować drogę prowadzącą do San José. Zmieraliśmy ku temu celowi z „Czarnym Orłem” i 60 ludźmi, aż utknęliśmy na tym pastwisku. Po drodze, w Santa Maria del Cua, urządziliśmy zasadzkę na niczego nie podejrzewający oddział sandinowców, znacznie mniejszy od naszego — ale nie zaatakowaliśmy go.

— Naszym celem jest wykonanie zadania, a nie prowadzenie walki po drodze — wyjaśnił „Czarny Orzeł”.

## ZASADZKA

Ale mieli też swe chwile. Najlepszą przeżyli na paśmie górskim Atapalito w prowincji Jinotega. Contrasami dowodził „Attyla”, a po piętach deptał nam batalion sandinowców Juana Pablo Umanzora; poprzedniego dnia wykryli nas, gdy marnowaliśmy czas na jedzeniu w chałupie wieśniaka, mimo ostrzeżeń, że nieprzyjaciel jest blisko. Wspinaczka na grzbiet była długa, ostra i gorąca; już na górze rzuciliśmy się na ziemię, by odpocząć w cieniu, mimo że nie było rozkazu. Wtedy „Attyla” wpadł na pomysł: oficer nazywany „Nagarote” zagrzebał w tym miejscu wiązkę granatów powiązanych sznurem — jak sam powiedział, sztuczki tej nauczyli go niedawno komandosi USA na Florydzie. Jeden contra ukrył się za drzewem z końcem sznura, a gdy pierwszy sandinowiec wszedł na wzgórze, spowodował wybuch. Wówczas znajdujący się jeszcze wyżej oficer „Calejón” i 20 ludzi otworzyli ogień z pistoletów AK-47; oficer ten stwierdził później, że zginęło 10 sandinowców, chociaż nikt tego nie sprawdził.

„Powinniście byli zobaczyć te zwierzęczki, wszystkie rozwalone, o taki!” — napawał się „Calejón”.

## GLÓD I STRACH

Może z powodu frustracji, a może ze zmęczenia podczas marszu zniknęła dyscyplina i koleżeństwo. Pogoń za pożywieniem wzięła górę nad chęcią walki. Każda wiejska chata stała się celem. Często inne jednostki contras już „oczyściły” te domostwa przed nami. Nie było jajek, bo kury stały się plecenią contras; to samo z mlekiem, bo krowy poszły na belsztyki dla contras. Często nie było nawet fasoli. Rekwirując produkty contras pokazowo płacili za nie, ale było to małe pocieszenie.

Tu już nie ma nie ma do kupienia — powiedziała kobieta, gdy contras wzięli od niej ostatnią kurę.

Najbliższa droga znajdowała się w odległości co najmniej 32 km, a targ jeszcze dalej. W miarę jak ludzie w oddziale „Czarnego Orła” stawali się coraz głodniejsi, coraz mniej troszczyli się o subtelność płacenia, zwłaszcza ci, którzy przegrali w karty swe zwitki pieniędzy.

Dlaczego nie podarujesz mi tego kurczaka? — zapytał jeden. Nikt nigdy nie odmówił.

Zastraszeni wieśniacy stali się chwilowymi, jeśli nie tymczasowymi, „kolaborantami”, kiedy dziesiątki silnie uzbrojonych, wygłodniałych mężczyzn wpadały do wioski na śniadanie. Nie ma przy tym otwartego wymuszenia; samo fizyczne pojawienie się contras zwykle wystarczy. Wiele z nich ma wytatuowane na ramionach trupie czaszki z piszczałkami, to samo wymalowane na koszulkach, albo też takie pseudonimy jak „Niszczyciel” czy „Smok”.

Contras, mocno naciskani w pościgu przez sandinowców, zmuszali także wieśniaków do chodzenia dla nich na zakupy i — co gorsza — do posuwania się na czele kolumny, aby byli pewni, że nie wpadną w pułapkę. Chełpili się, że ci ludzie są ich współpracownikami, ale kiedy my rozmawialiśmy z nimi prywatnie, było jasne, że bardziej czuli się jak żywe wykrywcze min.

Z nimi jednak wiązała się tajemnica tego, że tyle razy udawało się nam wymknąć z pościgu sandinowców w płataninie pokrytych gęstą dżunglą gór i pojedynczych gospodarstw rolnych w prowincjach Jinotega, Zelaya Norte i Matagalpa.

Contras byli wspaniali w wycofywaniu się; ataki zawsze nie bardzo im „wychodziły”. Kolejno rezygnowaliśmy z zadań powierzonych nam przez naczelne dowództwo.

Przykro mi, ale nie możemy dłużej zostać z nami — powiedział „Czarny Orzeł” po rozprzeżeniu na pastwisku. — Jestem pewien, że w swoim czasie zobaczymy nasz duży sukces.

Gdy odchodziliśmy, wyraźnie mu ulżyło.

## U SANDINOWCÓW CZYLI DRUGA STRONA FRONTU.

Jak na kraj w stanie wojny, to Nikaragua nie jest trudna do podróżowania. Po opuszczeniu contras, przesiłgnęliśmy się przez linie sandinowców i znaleźliśmy ciężarówkę, która zabrała nas do Managui. Tam przedstawiciele rządu złożyli nam śmiałą ofertę: moglibyśmy wrócić do tego samego regionu w towarzystwie ich oddziałów i obejrzeć tym razem „drugą stronę medalu”. Podróżując samolotem, ciężarówką i idąc na piechotę spędziliśmy kolejny tydzień z wojskami sandinowców, przemierzając nasze szlaki sprzed miesiąca.

Do regionu San José de Bocay wróciliśmy radzieckim śmigłowcem bojowym Mi-17, najeżonym kokonami rakiet i pistoletami maszynowymi, przed którymi tak bardzo chowaliśmy się zaledwie 2 tygodnie wcześniej. Na stanowisku dowodzenia sandinowców nad (rzeką) Rio Bocay śmigłowce i wielkie radzieckie ciężarówki, samoloty transportowe i łaziki kręciły się przez cały dzień w tumanach kurzu. Trwała kontrofensywa w celu całkowitego zlikwidowania baz, które niedawno odwiedzaliśmy. Głównym jej celem była miejscowość San Andrés de Bocay, po honduraskiej stronie granicy, u zbiegu rzek Caco i Bocay. Wokół tamtejszego małego pasa startowego contras okopali się na stromych wzgórzach z bronią przeciwlotniczą i moździerzami, tworząc zespół obozów, które nazywali Gwiazdździstą Bazą. Na odcinku 40 km na południe wzdłuż rzeki Bocay, już w Nikaragui, utworzyli naziemną linię dostaw do wysuniętego stanowiska dowodzenia, znajdującego się jakieś 30 km dalej. To obozowisko, z setkami ludzi i strefą lądowania śmigłowców miało być nowym, położonym w kraju nerwowym ośrodkiem wojny. Stąd wynikało znaczenie naziemnej linii dostaw, bo przez małe lądowisko nie mogła przejść ilość broni, potrzebna do przeprowadzenia większej ofensywy.

Sandinowcy nazwali swą kontrofensywę największą podczas tej wojny — i najkrótszą. 10 maja 1987 r. koło Amaka ich śmigłowce wysadziły 5 batalionów, które przebyły sobie drogę wzdłuż rzeki Bocay do granicy z Hondurasem. Następnego dnia, przy szalejącym ostrale, przeszli wpraw przez rzekę Caco do Hondurasu i szybko opanowali wzgórze wokół Gwiazdździstej Bazy w San Andres, odcinając tym samym drogę dostawcom.

— Contras „są zupełnie bez jaj” — powiedział Manuel Antonio, 20-letni żołnierz, ranny od wybuchu granatu. Większość z nich po prostu ucieka.

Płk Manuel Salvatierra, dowódca operacji i szef VI regionu wojskowego sandinowców, nie miał żadnych wyrzutów sumienia za zaatakowanie bazy contras w Hondurasie; bez tych sanktuarów w Hondurasie nie mogliby istnieć.

Kiedy sandiniści przewzłali nas śmigłowcem wzdłuż rzeki, tuż nad wierzchołkami drzew, wszystkie oddziały na dole były ich oddziałami, chociaż gdy wyładowaliśmy, contras prowadzili ostrzał lądowiska z dalszych rejonów w Hondurasie. W Amaka ciała dwóch contras leżały na brzegu rzeki. Rozpoznaliśmy obu z czasu naszego pobytu w wysuniętym stanowisku dowodzenia FDN. Później contras powiedzieli, że porażka w tym regionie była bez znaczenia; nigdy nie zamierzali przekształcić tego stanowiska dowodzenia w stałą bazę. Podkreślali z naciskiem, że prowadzą wojnę partyzancką i nie chodzi o obronę terytorium, ale o skłonięcie do wycofania się przeciwnika, uzyskanie miejscowego poparcia, wybranie odpowiedniej chwili do ataku.

Jedną z anomalii tej wojny jest większa agresywność sandinowców. Większość armii partyzanckich zadaje znacznie więcej strat niż same ponoszą, ponieważ mają przewagę własnego terenu i zaskoczenia. A jednak partyzanci FDN i wojska sandinowców — według najnowszych oszacowań wywiadu amerykańskiego — mają z grubsza ten sam wskaźnik zabitych. Contras nie bardzo chcą słuchać rad przedstawicieli władz USA, aby stawiali do konfrontacji z regularnym wojskiem sandinowców, zamiast koncentrować się na leż u brońonej cywilnej milicji i niebronionych celach. Dwie potyczki ogniowe, jakie przeszliśmy przez cały ten czas u contras miały charakter działań obronnych. Z kolei, jednostka sandinowców, której towarzyszyliśmy — batalion im. Simona Bolívara — wytopił contras i walczył z nimi po zaledwie 2 dniach. Dwudziestooosobowa „kompania”, z jaką maszerowaliśmy koło El Bote, dowodziła się od wieśniaków, że gdzieś za nami znajduje się 150 contras; żołnierze natychmiast zawrócili w poszukiwaniu ich. Inne kompanie z batalionu wcześniej na nich trafiły.

Postępowanie sandinowców jest uderzająco odmienne od contras. Ich dyscyplina była równie twarda co wielu miesiącach po-

bytu w górach Isabella — chociaż batalion S. Bolívara składał się głównie z poborowych będących na służbie przez 2 lata. Wielu powiedziało nam, że od 15 miesięcy ciągłych działań nie widzieli brukowanej drogi ani nie pili zimnego napoju. Podczas gdy trzy tygodnie wystarczyły, aby contras, którym towarzyszyliśmy w tych samych górach, przekształcić się w niesforne zgraje, to wojska sandinowskie będące w marszu nigdy nie zatrzymały się w domu wieśniaka, chyba że za zezwoleniem oficera — i to tylko na zewnątrz, w oczekiwaniu na wodę do picia. Mając stałe dostawy żywności ładem, rzadko jedli coś, czego sami nie nieśli, głównie węgierskie racje w puszkach i radziecki ryż. Kiedy dokonywali rekwirowania żywności, to — mówili nam wieśniacy — zawsze za nią płacili.

Nigdy nie widzieliśmy, żeby sandinowcy nakładali wieśniakom do pracy przewodników, czy też kazali im iść na czele dla osłony. Chłopi, z którymi rozmawialiśmy będąc po obu stronach, mówili, że tak robią tylko contras.

Oczywiście nikt z nas nie chce tego robić — każdy wini nas za to — wyznał nam jeden z przewodników contras. — Jeśli ci się uda, będą się czepląc compas (sandinowcy), a jeśli nie — contras. Co możemy począć?

## „OBEDIENTE” I INNI

Niezależnie myślicy campesinos z gór są naturalnymi wrogami sandinowców. Często, gdy przybywaliśmy z contras czy compas, narzekali na „socjalistyczną politykę rolną. Bardzo stracili z powodu słabnącej gospodarki, czym najbardziej obarczali sandinowców, nie wojnę. Ale wydaje się, że contras nie potrafili tego wykorzystać. Kiedy byliśmy z nimi na patrolu, pewnego dnia przybyliśmy do chaty campesino, którego contras nazywali „Obediencie” (Posłuszny). Był to niezadowolony rolnik, jeśli kiedykolwiek był jakiś zadowolony. Na swym małym gospodarstwie produkował tylko wystarczającą żywność, aby ją zjeść, i kawę na sprzedaż.

— Ale — mówi — 1400 funtów zebrane w tym roku da mi zaledwie równowartość 70 dolarów po cenach państwowych na państwowym targu, w jednym miejscu gdzie wolno mi sprzedać kawę. Winię za to państwo — powiedział. Jego cała rodzina, poczynając od dwuletniej Marii, choruje na górską trąd, ale do przychodni trzeba iść 2-3 dni. Szkoły i targowiska są tak samo daleko.

Co grupa contras uczyniła dla umocnienia lojalności „Obediencie”. Jedliśmy jego kurczaki, fasole, tortillas, banany, płatany, cassave, grejfruty i zgadzaliśmy się z nim, że to pech, że inni, contras zjedli już wszystkie nadające się świnię. Spaliśmy w jego zagrodzie, mimo obowiązujących rozkazów, żeby obozować z dala od domostw, aby podczas ataków nie było ofiar wśród cywilów. Wysyłaliśmy go nocą w góry na przesłpiegi za sandinowcami, a przed świtem zmuszaliśmy go, by szedł na czele kolumny. Jego żona patrzyła na to z poważną twarzą; wymienili tylko wymowne spojrzenia, ale żadne nie powiedziało ani słowa. Nie więc dziwnego, że ani on, ani żona — wzięci na ubocze — nie powiedzieli niczego złego o sandinowcach, którzy przechodzili obok.

— Compas mówią łagodnie — stwierdził — zadają wiele pytań i robią prelekcje polityczne, ale normalnie proszą tylko o kawę.

Następnego dnia „Obediencie” zaprowadził nas dwie góry dalej, do domu sąsiada. Był nim 60-letni wieśniak „El Conejo” (Królik). Nasze przybycie sparaliżowało całą rodzinę, poza jedną przerażoną kobietą, która miała dla nas makę kukurydzianą tak pieczoną, że nie zwracała uwagi na plażące dziecko. Dowódca naszej przewodniej grupy, oficer contras zwany „Mercenario” (Najemnik) zwrócił się do starca, by był naszym przewodnikiem. Ten niepewnie odpowiedział, że jego trzej synowie służyli już w FDN. Na „Mercenario” nie zrobiło to wrażenia. Wówczas „El Conejo” wspominał o artretyzmie w kolanie, przez co kuleje. Bez wrażeń. Przez resztę dnia „Królik” musiał kuksytać przed nami po jednym ze stromych szlaków górskich.

— Ochotnik — jak powiedział o nim „Ocho Cylindros” (8 Cylindrow), delegat contras ds. praw człowieka — w służbie wolności i demokracji.

Przynajmniej jeden spotkany przez nas contras nie był ochotnikiem. Był nim 14-letni chłopiec z szeregow innej grupy, z którą zeknęliśmy się po drodze; podał nam pseudo „Samotnik”. Był ubrany w nowy połowy mundur amerykański, zbyt obszerny na jego wąskie ramiona, i buty szeregowca (GI) do chodzenia po dżungli, tak duże przy nim, jak buty kłowna cyrkowego. Była pora posiłku, ale „Samotnik” siedział z dala od innych — miał pietra. Powiedział, że trzy miesiące wcześniej zbierał kawę u sąsiada w prowincji Matagalpa, kiedy przechodziła kolumna contras i uprowadziła go. Później „NEWSWEEK” przeprowadził wywiad z jego rodzicami; potwierdzili, że syna porwano wraz z 20 innymi wieśniakami, niektórym udało się uciec.

— Wszystkie drzewa w moim ogrodzie uschły od czasu, gdy go zabrano — powiedziała matka we łzach. — Gdzie on się podziwiał?

„Samotnik” był ich dumą, jedynym w rodzinie, który nauczył się czytać i pisać. Jego rodzina dostała działkę ziemi od sandinowców po ich zwycięstwie.

— Jak oni mogą chcieć zniszczyć rewolucję — zastanawiała się — skoro pomogła ona nam i tak wielu ludziom?

## LUdzie, którzy nic nie mieli przed rewolucją

Poderwaliśmy się z biotniego pastwiska o 4.30 nad ranem i poszliśmy za contras w poszukiwaniu bezpieczniejszej kryjówki, kopiąc nory w poszyciu wysokim jak góra. Droga do San José znajdowała się w odległości długiego dnia marszu. W tym czasie ani mężczyźni, ani dziewczynom nie było już do śmiechu, a żar wkrótce przytępił dobry humor. „Nagarote” i „Ocho Cylindros” zadali klóćci się o to, jak podzielić ostatni słoik miodu, jaki znaleźli w wiejskim szalasi. Powiedzieliśmy „Czarnemu Orłowi”, że chcielibyśmy odejść, na co obocho przystał.

— I tak postanowiłem nie atakować drogi. Uciekinierzy powiedzieli, że sandinowcy uzmocnili ją wieloma żołnierzami. Znajdziemy inny cel.

Zanim odszedłem, wszyscy prosili o prezenty: „Czarny Orzeł” chciał moją manierkę. Dalem mu ją z uśmiechem, chociaż miałem przed sobą długą, wysuszającą marsz.

Oczywiście z tego powodu staliśmy się w równym stopniu „kolaborantem” co większość campesinos, jakich spotkaliśmy. W walce o serca i umysły contras są w dalszym ciągu stroną przegrywającą. Jeśli nie potrafią wygrać tej batalii, to mogą tylko mieć krucha nadzieję wygrania wojny, zwłaszcza że ich wróg jest potężniejszy i ma większe możliwości. Wojna partyzancka jest bardziej walką polityczną niż wojskową. Sandinowcy, którzy sami zeszli z gór, dobrze to rozumieją. Wydaje się, że contras nie.

Z pomocą miejscowych campesinos dotarliśmy do wioski Los Cedros i późno w nocy zapukaliśmy do domu Don Fernanda. Słyszeliśmy, że miał samochód, którym moglibyśmy wyostać się z tej strefy, normalnie zamkniętej dla dziennikarzy przez wojskowych sandinowców.

— Kiedyś miałem samochód — przyznał przyglądając się błotni na naszych dżinsach i płamom potu na koszulach. — Potem przyszła rewolucja, wojna, zniszczona gospodarka. Po kolei sprzedawałem wszystko. Ostatni poszedł samochód.

Spodziewaliśmy się, że Don Fernando, stosunkowo duży posiadacz ziemski, będzie nastawiony przeciwko sandinowcom, ale nigdy nie mówił nam o swych własnych poglądach politycznych.

— Mister, wojna nie jest dobra dla nikogo. Proszę spojrzeć wokół, wcale nie ma młodych mężczyzn. Sandinowcy biorą ich do poboru, a contras uprowadzają ich. Obie strony zabijają niewinnych ludzi. Może moglibyście powiedzieć, że każda ze stron popiera połowa, ale jest bardzo wielu ludzi, którzy zdecydowanie popierają sandinowców, bardzo zdecydowanie: to ludzie, którzy nie nie mieli przed rewolucją.

## „NEWSWEEK”



**O** chemistrz z greckiego statku brytyjskiego armatora, zatrudniony w ramach kontraktu z „Polserwitem”, uzyskał u kapitana kilkunastogodzinny przepustkę, by udać się z wybrzeża Kolumbii do Sao Paulo, na romantyczną randkę z własną żoną. Ta wyruszyła z Gdańska, z myślą, by przesiąść się bez wity argentyńskiej w Buenos Aires, z „Ila” na samolot brazylijski. Poznałem ją w sali tranzytowej w Budapeszcie.

— Od dziecka marzyłam — powiedziała — by zobaczyć karnawał w Rio. Nie mogę w to uwierzyć, nie mogę uwierzyć, że się udało.

Stukam metalowym kieliszkiem o jej kieliszek z „Żytnią” i mówię:

— Za to, aby udało się do końca.

Ubolewam, że mój postój w Buenos i Montevideo uniemożliwił mi dotarcie do Rio przed zakończeniem karnawału. Od sąsiedniego stolika odwraca się zakonnica:

— Oni bawia się tam stale. Tańczą kiedy i gdzie tylko się da.

W przeddzień późniejszego wyjazdu, znajoma psycholog mnie pocieszała jeszcze inaczej. Mówiła, że niedużo stracić, jeśli nie zdąży. Jej sąsiad z Kuluszek był w Brazylii w czasie karnawału. Ani razu nie wyszedł z domu, tak przykry był na ulicach zapach potu i moczu.

„Daleka jest droga do Rio” — przypomniła mi się melodia piosenki, jaką śpiewał mój kolega w podskakującej na wybojach w Zielonogórskim wojskowej ciężarówce wiozącej nas na poligon, w roku 1963. „Daleka jest droga do prawdy” — trawestowałem w myśli ten refren.

## KARNAWAŁ JEST NIE TYLKO W RIO.

Samolot podchodzi do lądowania w stolicy Senegalu. Od siedzącej po prawej stronie Urugwajki, dowiaduję się, że karnawał jest nie tylko w Brazylii. Jest i w Montevideo. Może też spotkać w Buenos Aires. Dzielę się tą wiadomością z sąsiadem po lewej, profesorem geografii z UW, który z paszportem służbowym podróżuje do Argentyny i Kanady.

Spacerując w środku nocy wśród murzyńskich straganów w porcie lotniczym w Dakarze, profesor wpada na pomysł wspólnego ze mną wypadu na karnawał w Buenos.

Centrum Buenos Aires liczy 3 miliony. Wielkie Buenos 5—6 razy więcej. Każda dzielnica organizuje karnawał oddzielnie. Tańce przy muzyce i maskarada uliczna odbywają się w określonych dniach czy raczej nocach. Tymczasem zwykła noc z poniedziałku na wtorek zaskakuje tętniącym życiem na ulicach Florida i Lavalle. Tłum odświętnie ubrany. Lecz tłum — w centrum o tej porze, zawsze tak wygląda.

Kino przy kinie i szmira także. „Emanuelle” przy „Inwazji” — 3 razy 4 godziny. Uliczni kłowni i pantomima. Otwarte sklepy, eleganckie anizeli w Europie wystawy.

Pan Stachura — stryj Edwarda Stachury — mieszka w Buenos Aires od końca II wojny. Nigdy nie oglądał karnawału. Przy czerwonym winie w domu, cytując komunikat jednego z 3 programów telewizyjnych: „Dwa dni przed końcem karnawału w Rio — 193 zabitych”.

— Tutaj — powiada — jest znacznie spokojniej.

Pokazuje mi wycinek z „Życia Warszawy”, które podała mi stewardesa z LOT-u:

„Rio de Janeiro (PAP): Na tegoroczny karnawał pada cień w postaci lęku przed AIDS... bardzo trudny do wykorzystania jest obowiązek w ciągu tych kilku dni obyczaj bicia rekordów, liczby partnerów seksualnych...”

O tym obowiązku nie tylko pan Stachura nie słyszał.

Następnego dnia rano, w Montevideo, chciałem oglądać nagranie video z telewizji urugwajskiej — kolorowy reportaż z wczorajszego karnawału w Rio. Bezwiednie notuję fragmenty rozmowy przy stole:

— 31 stycznia, ulica, przetrwała pochód w Montevideo. Po tygodniu — kolejny korowód.

— Był również czarny karnawał, wyłącznie Murzynów.

— Miejscowa prasa podaje, że w Rio jednego dnia było 11 zabójstw.

— Tańczyła 70 godzin bez snu i zemdlana.

— Urugwaj ma pierwsze miejsce w zachorowalności na raka: być może z powodu dużego spożycia wędzonych ryb.

— Wczoraj zmarła na AIDS czterdziestoletnia prostytutka urugwajska.

— Podoba się panu karnawał? — pyta gospodyni, nakładając na talerz, bez mojej zgody, nową porcję jajecznicy.

— Wolabym zobaczyć in vivo zamiast in video — odpowiadam.

Na ekranie feeria barwnych strojów i nieustający rytm samby, w takt którego, bezbłędne ruchy wykonują nogi tancerzy, o nieruchomym tułowi i rozbawionych twarzach. Gospodarze przekonują mnie, że lepiej oglądać w telewizji.

— Z tylnych rzędów sambodromu w ogóle nie widać.

I znowu notuję.

— Karnawał istnieje w Rio od około 40 lat. Oryginalny karnawał wywodzi się z północy, spod równika, z miasta Salvador, do którego dotarł z Afryki 200—300 lat temu.

— Sambodrom w Rio rozciąga się wzdłuż jezdnii na długości około 4 kilometrów. Historia ma krótką. Wznoszony jest na czas karnawału od około 4 lat.

— Czarnorynkowa cena biletu przekracza 80 dolarów.

— 80 dolarów to także okazjonalna cena doby w kwatery prywatnej. Hotele rezerwowane są na pół roku wcześniej. Najad całego świata na Rio!

Na ekranie przesuwają się grupy tancerzy z poszczególnych szkół samby. Jedna szkoła liczy do 3000 tancerzy.

Niewątpliwie sambodrom stanowi centrum karnawału. Nie wiem, czy w miejscu tym kiedykolwiek był świadkiem zabójstwa albo ekscesów seksualnych.

Choreografia, pantomima, rytm samby, zmieniające się barwy, to wszystko czyni widowisko artystycznym i daleko wykraczającym poza zwykłą estradowość. Trwa ono od 21.00 do 8.00 przez kilka nie kolejnych nocy. Pierwsza przypada na tydzień przed środą popielcową. A po ostatniej, jak głosi fama, wszyscy przygotowują się do następnego karnawału.

Barwny korowód oglądam jeszcze raz na ekranie telewizyjnym, tym razem w Rio, w su-

permarkecie przy stoisku z telewizorami. Montaż na taśmie video uwypukla tegoroczną oryginalność kostiumów i układów choreograficznych. Twarze siedzących przy stołkach w kawiarni supermarketu zwrócone są w tę samą stronę. Przyciąga dźwięk samby. W karnawałowym kondukcje można rozpoznać milionerów. Ubrani są w najbogatsze pióropusze, tiule, jedwabie i etole. Lecz nade wszystko rzuca się w oczy pływacy w tańcu przez jezdnię tłum, który wyraża radość życia, spontaniczność i temperament. Młody naród, mieszanina ras i kolorów, tworzy własną tradycję. Jakże odrębna jest ona od kulturowanej od 5 tysięcy lat w Azji tradycji „czterech szlachetnych prawd Buddy” i wynikającej z nich ascezy.

## BRAZylijskie miasta

Miasto Belo Horizonte — to „Piękny Horyzont” — powstało przed 75 laty. Rozciągnęło się na wzgórzach otoczonych wyższymi górami. Rozległe śródmieście, okolone Avenida Contorno, gdziekolwiek by się nie ruszyć, rozciąga wciąż inny piękny horyzont z pierzastymi chmurami wśród drapaczy chmur. Tu też był karnawał. Był również w Sao Paulo i w Santos. Na naszych oczach rozmontowywane są rury sambodromów. W Rio znikają kolorowe malowidła i girlandy nad ulicami. Do Brasílii sambodrom ma po raz pierwszy zawitać za rok.

Dziwna to stolica. Wzniosła się w ciągu 3 lat licząc od roku 1960. Zgodnie z projektem Costy i Niemeyera ma kształt samolotu z odchylony-

ka Brasílii, jak cała Brazylia, własnej historii. Muzeum prezydenta Kubitschka, założyciela miasta, pozbawionego długo później praw politycznych, a potem znów senatora, który po bawieniu w USA i Francji ginie w wypadku samochodowym na trasie Rio — Sao Paulo.

Muzeum to ma salę centralną, jakby grób — wiec bez grobu i trumny, z przyćmionym światłem i majestatem ciszy, prywatną bibliotekę prezydenta z tomem Lwa Tolstoja, gabloty z orderami, jakie otrzymał z dziesiątek państw.

Z jednej strony Brasílii, a z drugiej owo Belo Horizonte, na którego krańcach wznosi się nie mniej wspaniały stadion Mineirao. W jego wejściu — tunelu — kolejne sanktuarium — muzeum poświęcone sukcesom futbolu brazylijskiego. Jest i kaplica, w której modlą się przed meczem piłkarze. A przed stadionem: pomnik — odlew stóp Pelego.

Kilka tygodni przed rozpoczęciem karnawału, w sklepach nie było ani masła, ani mięsa. Farmerzy wstrzymali dostawę produktów spożywczych na rynek. Była to konsekwencja długotrwałego kryzysu. W lutym 1986 roku doszło do wymiany pieniędzy. Dewaluacja osiągnęła 300 procent. W środkach masowego przekazu, na 2 miesiące przed karnawałem, zaczęło huczeć o AIDS.

## UWAGA! KIESZONKOWCY!

Na stromych stokach w Rio de Janeiro — dzielnice nedzy. Państwo w państwie. Policja nie wchodzi na to terytorium. Odwrotnie.

Karnawał w Ameryce Południowej trzeba zobaczyć, ale jeśli nie można — to warto przeczytać, co widzieli inni.

# W pogoni za karnawałem

LUDWIK GEBEL



Rio de Janeiro.

mi do tyłu skrzydłami. W kadłubie, wzdłuż szerokiej jezdni bez chodników, zajęły miejsca ministerstwa, banki, urzędy, w dziobie — pałac prezydenta, w skrzydłach — kwatery mieszkalne, rezydencje, dzielnice szkół, i tylko w skrzydłach — komunikacja autobusowa. Szu-

stapiad wydostaje się nędza do centrum. W zaułkach Teatro Municipale bezdomny ułożył kilka desek nad głową, rozłożył na bruku worek, który mu służy za łóżko. Inni śpią po prostu w poprzek chodników. Listonosz, który pokazuje mi drogę do bogatej dzielnicy Copacabana, pyta:

— Gdzie pan mieszka?

— W Łodzi! — odpowiadam.

— Czy Łódź jest ładnym miastem?

— Nicco mniej ładnym niż Rio.

— Rio również nie jest takie piękne.

A mnie Rio de Janeiro jawi się jako najpiękniejsze miasto świata. Architektura i przyroda tworzą tu idealną harmonię. Ocean wdiera się dziesiątkami zatok i plaż pomiędzy drapacze chmur i budowle o oryginalnej linii ścian i dachów, wtulone, jeśli patrzeć ze szczytu Corcowado lub Głowy Cukru, w bujną zielen gó. Idę plażą de Botafogo. Spod palm robię zdjęcie biwakującej grupie kreolów. Podchodzi policjant.

— Dangerous — ostrzega — niebezpiecznie.

Radzi schować aparat. Na plaży Copacabana inny policjant tłumaczy, że aparat fotograficzny powinien być schowany w plastikowej torbie. W jakiegokolwiek torebce, jaką się otrzymuje przy każdym zakupie. Policjant wykonuje pantomimę na temat: Jak pracują kieszonkowi złodzieje. Aparat fotograficzny jest dla nich sygnałem, że zbliża się cudzoziemiec i łatwy łup.

— Dangerous — ostrzega — niebezpiecznie.

W jardnierze, „szklanym” autobusie jadącym wzdłuż plaż, otrzymuję nieprzeprzeczną torbę od nieznajomej.

Hotel „Intercontinental” tonie w zapachach kwiatów i perfum, buty toną w miękkich dywanach, wzrok — w basenach pod tarasami, na których grają orkiestry, a goście czestowani są drinkami. Po wyjściu z hotelu znowu jakaś nieznajoma radzi rozglądać się i torbę trzymać oburącz.

Listonosz z Rio odprowadza nas do autobusu. Portfel noszę w specjalnej wewnętrznej kieszeni, z przodu, pod paskiem. W zwykłej kieszeni pozostawiłem „podkowę” z monetami (50 centów i złotówki). Wyprzedzają nas młodzieńcy w podkoszulkach z czarnym nadrukiem.

W autobusie płacąc konduktorowi za bilet, tułowiem trzeba pchnąć specjalne drzwi krzyżakowe, by wejść do środka. Poniżej — licznik przesuwający cyfry. Trudno jakoś było przecisnąć się do tych drzwi.

Kiedy nie znajduje w swojej kieszeni „podkowę”, kolega — paczki papierosów, a drugi — 200 cruzados (około 7 dolarów), uzmysławia mi sobie kolejność wydarzeń. Dwóch młodzieńców w podkoszulkach stanęło tuż przed drzwiczkami plecami do siebie, utrudniając przejście pomiędzy nimi. Dwóch pozostałych pchało nas do wewnątrz, niby w pośpiechu, by zdążyć wsiąść. Sztuczny śłok i rece żonglerów. Konduktorka udawała, że nie widzi. Kierowca nie zamknął drzwi i nie ruszył. Gdy uruchomił wreszcie silnik i ruszył bardzo powoli, cała czwórka wyskoczyła zgrabnie na jezdnię. I wtedy kierowca zapytał: — co wam ukradli?

Pani Tylińska, wywodząca się z pierwszej polskiej emigracji, zapytana, co sądzi o tutejszych rozbojach, mówi spokojnym głosem, że

w tym roku, tuż koło jej domu, w eleganckiej ulicy, napadnięto ją trzy razy.

Dzienniki brazylijskie nie podają liczby ofiar karnawału. Bo nie ma ofiar karnawału. Zabici, ranni, ofiary rozboju są w pięknym Rio codziennie. Nicco bezpieczniejsze jest Sao Paulo. W pierwszym kwartale podobno były tylko 2 napady z bronią w ręku na autobusy miejskie. W Belo Horizonte — najgorzej wracac o zmroku z Rodoviario (dworca autobusowego). W Brasílii nie ma napadów. Za młode miasto?

— Karnawał — wspomina pani Tylińska — to nie to co za moich dziecięcych lat. Wtedy nie było żadnych tam sambodromów, turyści nie zostawiali tysięcy dolarów. Confetti było i serpentiny na ulicach! Wszyscy tańczyli sambe w dzień i w nocy. Nikt wtedy nie słyszał o szkołach samby, o choreografiach na określony temat. Za to teraz strój najskromniejszy kosztuje sto dolarów.

## JAK WRESZCIE DOGONIŁEM KARNAWAŁ

Dogoniłem karnawał w Porto Alegre, w pierwszym mieście brazylijskim, w którym zatrzymałem się po przekroczeniu granicy urugwajskiej. Dogoniłem niespodziewanie.

W pobliżu mercado (rynk u owocowego) wchodzę do Informacji Turystycznej i odruchowo biorę do ręki pierwszy z brzegu folder. Czytam:

„Programação oficial do carnaval '87 de Porto Alegre”.

Karnawał trwa tu przez 5 nocy: 28 luty, 1 marca, 2 i 3 marca i „7 marca”.

W sobotę, jutro!!! Zamiast spędzić najbliższą dobę w autobusie do Rio, decydujemy się pozostać w Porto Alegre, na przeglądzie nagrodzonych szkół samby.

— To co pan tu zobaczy — mówi konsul — to jedna setna tego co w Rio.

Z Avenida Independencia prowadzi nas ciemnoskóra Brazylijka, o europejskich rysach twarzy, w ciasno opinających obfite kształty dżinsach, wprost na Rua Perimental. Wyrasta sambodrom. Naprzeciw dwie kasy w odległości kilkuset metrów od siebie, z szybko przesuwającą się przed nimi kolejką. Bilety zaskakująco tanie, po 10 i 50 cruzados. (10 cruzados = 1/3 dolara = 2 kg pomarańczy = 1 kg ziemniaków). Te za 50 cruzados to na centralną część sambodromu pozostająca pod dachem. Początek o godzinie 21.00, koniec o 7.50. W programie — 11 zespołów z 3 nagrodzonych szkół, w kolejności od gorszych do lepszych, co 50 minut, z przerwami po 10 minut. Przy wejściu stoją policjanci.

Dochodzi 21.00. Nie ma tłoku. Po przeciwną stronę dostrzegamy wolne miejsca przy balustradzie. Wycofujemy się i przebiegamy jezdnię za ruchomym plotem oznaczającym linię zakończenia tanecznego korowodu. Pół kilometra stąd rozpoczyna się już widowisko. Dochodzi dźwięk samby. „Powoli zapelniają się stopnie sambodromu. Przechodzą całe rodziny. Na rękach matek niemowlęta ze smoczkami. W Ameryce Południowej nie uznają wózków. Nawet noworodki noszone są na rękach. Obok pięcioletnia dziewczynka o czekoladowej skórze w śniągłej białej odświętnej sukience. Przed balustradą szybko przechodzą policjanci w hełmach i z drugim pałkami.

Niknie w oddali dźwięk syreny karetki pogotowia. Zbliża się samba. Coraz głośniejsza. W jej rytmie pojawiają się pierwsi tancerze. Szybkim krokiem pokonują zakąski jezdnie. W świetle lamp jarzeniowych widać z bliska roześmiane twarze.

Falami napływa kolejno fiolet, zieleń, biel i czerwień. Czasem pojedyncze inne kolory. Zbliża się samochód z urządzeniami nagłaśniającymi. Chłopiec prowadzący w tańcu młodocianą partnerkę, zdejmując cylinder, kłania się trybunom. Nicco dalej, w tym samym rytmie, przesuwają się równie rozbawiona starszka i stado dziewczyn z zasłoniętymi jednym sznurkiem wybujałymi pośladkami. Ida dobusze. Gwizdają piszczałki. Niektóre bębny są już pęknięte. W głośnikach chór śpiewa po portugalsku refren. Wibrująca sambodrom.

Rytm wybijany coraz głośniej. Szybki krok. Wszyscy śpieszą się, jakby załatwić mieli im tylko znaną, bardzo ważną, wesołą, jedyną w życiu sprawę.

Cisza. Odprężenie. Sprzedawcy roznoszą butelki sorwietes (piwo) i lody. Dokładnie po 10 minutach — nowa fala. Inna melodia. Rytm ten sam. Inne układy choreograficzne i kolorystyczne. Większy entuzjazm na stopniach sambodromu. Nagrodzona pierwsza nagroda szkoła — „is” będzie w 4 kolejnych grupach od 4.00 do 7.50.

Około 24.00 sambodrom już zapelniony a temperatura emocji wzrasta. Nareszcie wiemy, o co chodzi.

Wracamy. Na ulicy świetlny zegar ukazuje godzinę 2.30 a świetlny termometr: plus 23 stopni Celsusza. Otwarte bistra i lokaliki. Zaglądam do jednego. Króluje fokstrot i tango. Jest także bal w Domu Polskim. Na pewno istnieją kluby odgródzone od ulicy i sambodromu elitarnością i tajemnicą programu. I odwrotnie. Na przykład w Rio, poza sambodromem utworzył się taneczny korowód biedaków w piórpuszach i podartych rajstopach.

Świetność karnawału w Rio polega na jego bogatszej oprawie. W tamtym kondukcje przesuwają się wielkie żywe kolumny, piętrowe platformy dinozaurów, smoki, kłowni, itp. Kobiety rzadko są nagie. Najczęściej odlatują pośladki. Kostiumy są napisem pomysłowości i estetyki. Tańcza w nich z największym wdziękiem żywe rzeźby o wszystkich odcieniach skóry.

Najważniejszy jest dźwięk. Melodia samby z wzmagać się akcentacją perkusji. Żadne pismo i żadne video nie odda atmosfery karnawału.





**Masz temat dla reportera?**  
**Cos cię drażni, niepokoi,**  
**szlag cię trafia — podnieś**  
**sluchawkę i wykręć numer: 36-77-70**

Na twój telefon czekają redaktorzy:

23 lipca — JOLANTA WRÓŃSKA — godz. 10—16  
 27 lipca — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godz. 10—16  
 30 lipca — ANDRZEJ MAKOWIECKI — godz. 10—16

Nasza Czytelniczka jest rencistką II grupy, zaś charakter jej choroby uniemożliwia jej podjęcie pracy. Zresztą pracodawcy, na widok orzeczenia lekarskiego odmawiają jej zatrudnienia. Po dwudziestu latach pracy ma rentę w wysokości 9.600 złotych. Otrzymuje ponadto dodatek rodzinny, wychowując samotnie dwoje dzieci, na które otrzymuje alimenty z Funduszu Alimentacyjnego — 3000 zł. Łącznie otrzymuje kwotę 11.850 zł miesięcznie. Za te pieniądze musi utrzymywać siebie i dzieci. Syn — lat 21, odbywał w tej chwili służbę wojskową, mimo iż od wczesnego dzieciństwa choruje na astmę oskrzelową i z tego tytułu pobiera rentę rehabilitacyjną. Choroba syna wyklucza możliwość wykonywania bardzo wielu zawodów, skazując młodego człowieka praktycznie na spójność inwalidzką, co, jak wiadomo, nie pociąga za sobą wysokich zarobków, a tym samym, są niktne szanse na istotne wzmocnienie wspólnego budżetu rodzinnego. 15-letnia córka, ukończywszy właśnie szkołę podstawową, podjęła dalszą naukę. A nie trzeba nikogo przekonywać o tym, jakie koszty pociąga za sobą utrzymanie uczącego się dziecka, zwłaszcza w pojedynkę i z renty inwalidzkiej. Czytelniczka nasza otóż nie oczekuje wcale szkodliwych instytucji filantropijnych. Kłopot jest — zdawałoby się — prosty.

Bedac lokatorką mieszkania kwaterunkowego, w bloku, ze wszystkimi technicznymi urządzeniami, o powierzchni całkowitej 43 m kw (dwa pokoje z kuchnią, rozkładowe) usiłuje je zamienić na większe. Po pierwsze — (z racji posiadanych uprawnień do dodatkowej powierzchni) nasza Czytelniczka, z racji swego stanu zdrowia, oraz jej syn, z tego samego powodu. Po wtóre — w przewidywaniu, iż należy uczęcać się córce zapewnić możliwe najlepsze warunki do spokojnej nauki, synowi — choćby skrawek suwerennego kąta, gdy wróci z wojska, a sobie prawo do minimalnych warunków, w których nie będą się pogłębiać jej dolegliwości.

Ilość pieniędzy, jakimi rozporządza rencistka wyklucza praktycznie możliwość wpłacenia wkładu spółdzielczego, by zapewnić dzieciom w przyszłości samodzielne mieszkania, gdy zechcą założyć rodzinę. Zdana jest więc na biuro zamiany mieszkań, gdzie jej podanie leży sobie w jakiejś szufladzie od trzech lat. Albo na składanie pięćset osiemdziesiątce podania do właściwego urzędu lokalowego, by umożliwić zamianę mieszkania mniejszego na większe. Czytelniczka argumentuje, że przecież w zamian za to większe mieszkanie zostawia w dyspozycji władz swoje, a nie sposób uwierzyć, by nie znajdowali się ludzie, którzy nie chcieliby dokonać zamiany odwrotnej. Niby wszystko się zgadza. Rzecz jest jasna i oczywista. Ale nie u nas.

Nasz Czytelnik AMS — nazwisko i adres tylko do wiadomości redakcji — poinformował nas z oburzeniem i zaniepokojeniem, że w Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Wiskitnie koło Łodzi w szklarniach opryskuje się pomidory środkiem o nazwie EUPAREN — jest to dichloruamid IV klasy toksyczności. Otóż, jak podaje „Hasło ogrodnicze” nr 2/3 z 1986 roku i Franciszek Kagan, Andrzej Studnicki w książce „Terminarz ochrony warzyw”, wydanej przez PWRiL w 1986 roku pomidory spryskane tym środkiem powinny mieć okres karencji wynoszący 14 dni. Natomiast AMS utrzymuje, że były one opryskiwane 4 i 6 lipca 1987 roku i po kilku zaledwie dniach sprzedane. Informację tę AMS przekazał nam 13 lipca 1987 roku.

Zwracamy się z prośbą do SANEPIDU, aby dokonał niezbędnych badań i zajął w tej sprawie stanowisko oraz, aby o rezultatach tych badań poinformował „Ogłosy”.

Pan Gabriel Kubezak (ul. Nowomiejska 9) mieszkający wraz z żoną dwójkiem dzieci i teściami na powierzchni 18 m kw. znalazł mieszkanie (47 m kw.), którego był lokatorem w grudniu 1986 roku cofniętą decyzją. Lokal ten stoi pusty, ale ROM mimo wielokrotnych interwencji nie chce przyznać go naszemu Czytelnikowi, gdyż rzekomo jest za duży.

Z kolei puste mieszkanie po dozorczy w budynku przy Piotrkowskiej 7 dwukrotnie już zostało zajęte przez „dzikich” lokatorów, którzy później otrzymywali inne — duże mieszkania. Zdaniem członków Komitetu Domowego praktyki ten niewiele mają wspólnego z zasadą sprawiedliwości społecznej, gdyż pokoje po zmarłym dozorczy czekały na nowego, a władze lokalowe były o tym poinformowane. Czy zatem aby otrzymać mieszkanie szybko, należy najpierw dokonać włamania?

Trzy lata temu dom przy ulicy Bednarskiej 10 ze względu na stan techniczny przeznaczony został do natychmiastowej rozbioru. Niestety, stoi on nadal, a w skandalicznych wręcz warunkach mieszka w nim do dzisiaj kilkanaście rodzin. Lokatorzy wielokrotnie już próbowali doprowadzić do wykonania decyzji o rozbiorze, wielokrotnie im to nawet obiecywano, jednak dawane przyrzeczenia nie zostały spełnione. Może „Ogłosy” nam w końcu pomogą? — zapytała jedna z mieszkanki owej rudery. Rozumiejąc trudności mieszkaniowe, z jakimi borykają się władze dzielnicy Górna, uważamy, że decyzja o „natychmiastowym” rozbiorze budynku powinna być jednak wykonana, zwłaszcza, że dalsze użytkowanie pomieszczeń przez lokatorów zagraża — jak się od nich dowiedzieliśmy — zdrowiu, a nawet życiu. Mamy nadzieję, że sprawa ta znajdzie w najbliższym czasie swój finał.

Na zbyt drogie wczasy skarżyła się jedna z pracowników spółdzielni „Spójnia”. Co gorsze, przy wykupywaniu skierowań kazała jej zapłacić pełną kwotę za męża i dziecko, a ulgę przyznano jedynie jej samej. Koszt jednego skierowania wynosi ponad 20 tys. złotych, nasza Czytelniczka (imię i nazwisko do wiadomości redakcji) musiałaby więc wydać na urlop nad morzem dla całej rodziny nie mniej niż 70 tys. złotych, jeśli wliczyć w to jeszcze podróz. A na taki wydatek jej nie stać. Czyżby w „Spójni” rzeczywiście nie było środków finansowych na pomoc socjalną dla własnych pracowników i ich rodzin?

I na koniec powtórną sygnal od mieszkanki osiedla Kurak w Zgierzu, która sprostowała, że nie jest przeciwko suszeniu bielizny na balkonach, ale że bielizna ta powinna być czymś zasłoniętą, gdyż nie wszyscy muszą ją oglądać. Uważamy, iż tak rzeczywiście byłoby estetyczniej, sprawa ta jednak należy przede wszystkim do kultury osobistej poszczególnych obywateli naszego społeczeństwa, a z tą — jak wiadomo — bardzo różnie bywa.

W tymże Zgierzu na ruchliwej trasie z Łodzi na Wybrzeże naprzeciw bloku, w którym mieści się sklep „Pewexu” od dawna jest w jezdni dziura. Niejeden pojazd pojechał już w niej resorami. O ile nam wiadomo, jezdnie powinny być równe i gładkie, a wszelkie uszkodzenia nawierzchni — w miarę szybko usuwane. Także w Zgierzu.

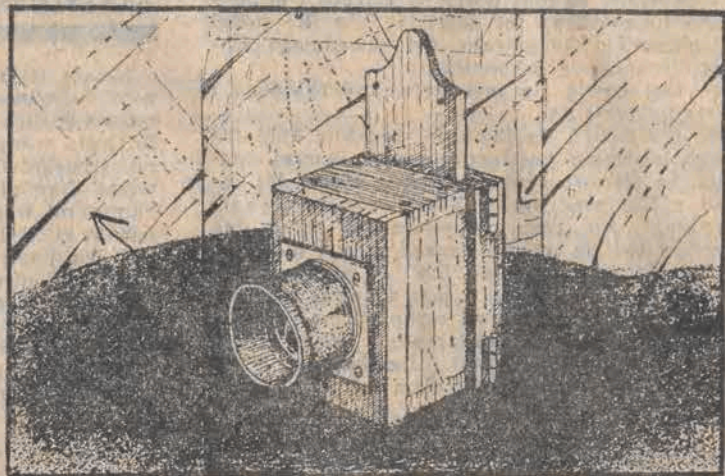
Pozostaliśmy sprawami, poruszonymi w telefonach, zajmujemy się w osobnych publikacjach.

#### REDAKTOR DYŻURNY

P.S. Nasz Czytelnik Maciej S. dostarczył nam w ubiegłym czwartku blankiet Państwowego Zakładu Ubezpieczeń (II Inspektorat w Łodzi, ul. Piotrkowska 192) wzywający obywatela (tu imię, nazwisko i adres) do zapłacenia ubezpieczenia za samochód marki „Syrena” za rok... 1985. Blankiet ów, opatrzony pieczęcią poczty „zwrot do nadawcy” znalazł się na ulicy w pobliżu „Centralu”, gdzie 16 lipca podobnych druków walały się setki. Zarówno naszego Czytelnika, jak i nas interesuje bardzo, w jaki sposób blankiety pocztowe z danymi personalnymi właścicieli samochodów trafiły pod nogi przechodniów. Może szanowny PZU pomoże nam rozwiązać tę zagadkę. A swoją drogą, rozrzucone takich druków w mieście, w publicznym miejscu jest doskonałą wskazówką dla złodziei, komu i gdzie co można ukraść. Oczywiście PZU wyrówna potem straty!

## Przypominamy!

**Konkurs na całe lato trwa**  
**do 30 września 1987 roku**  
**Konkurs lipcowy tylko do**  
**31 lipca 1987 roku**



Na ten pierwszy można przysłać do 10 zdjęć, na ten drugi do 6. Na KONKURS NA CAŁE LATO przysyłamy zdjęcia spoza Łodzi, na KONKURS LIPCOWY tylko z Łodzi. W obu przypadkach zdjęcia czarno-białe w formacie nie mniejszym niż 13 na 18 cm. Zdjęcia przysyłamy wraz z kuponami wyciętymi z „Ogłosów”!

Już nadesłano pierwsze prace. Najlepsze będą nagrodzone i publikowane w „Ogłosach”. Z KONKURSU LIPCOWEGO już w sierpniu.

Oto nasz adres:

„ODGŁOSY”

ul. Henryka Sienkiewicza 3/5, XIII piętro,

90-113 Łódź

A oto kupony:

KUPON KONKURSOWY NA CAŁE LATO

Imię i nazwisko .....

Dokładny adres .....

Zgłaszam na KONKURS NA CAŁE LATO zestaw ..... zdjęć.

KUPON KONKURSU LIPCOWEGO

Imię i nazwisko .....

Dokładny adres .....

Zgłaszam na KONKURS LIPCOWY zestaw ..... zdjęć.

Nie zwlekajcie! Czas szybko mija!

**FKC**  
**Zgierz**

**FABRYKA KWASU CYTRYNOWEGO**  
**„CYTROKWAŚ”**  
**PILNIE ZATRUDNI:**  
**ELEKTROMONTERÓW**

z uprawnieniami do 1 kV w pełnym i niepełnym wymiarze czasu pracy.  
 Informacji udziela i zgłoszenia przyjmuje Służba Pracownicza — Zgierz, ul. Kolejowa 6a tel. 16-36-12 w godz. 8—15 4222/k

**SPOŁEM WSS ŁÓDŹ**  
**Oddział Spółdzielczych Domów Handlowych**

**„CENTRAL”**  
**ZAPRASZA**  
**DO SWOICH STOISK W SDH**

przy ul. Piotrkowskiej nr 165, ul. Piotrkowska nr 100 oraz w Pabianicach przy ul. Kilińskiego 1, i ul. Marchlewskiego 18.

- Patronaty czołowych firm przemysłu lekkiego, elektro-mechanicznego i metalowego.
- Szeroko prowadzone wymiany z ZSRR, ChRL, WRL, CSRS, NRD, Austrią, Holandią, RFN.
- Fachowa i kulturalna obsługa

**GWARANTUJĄ UDANE ZAKUPY**  
**ZAPRASZAMY.**  
 1760 k

**Prywatna pomoc lekarzy specjalistów**

rok założenia 1958  
**WIZYTY DOMOWE I KONSULTACYJNE**  
 w zakresie:

- pediatrii ogólnej oraz: laryngologii, chirurgii, neurologii, kardiologii, okulistyki, dermatologii i ortopedii dziecięcej
- interny oraz: kardiologii, hematologii, pulmonologii, endokrynologii, gastrologii
- chirurgii miękkiej i ortopedii
- urologii
- neurologii i psychiatrii
- dermatologii, reumatologii
- okulistyki
- ginekologii
- EKG u pacjenta

Zlecenia przyjmujemy w dni powszednie 8—21, w dni wolne od pracy 9—21, tel. 57-55-55.  
 Honoraria stałe bez względu na dzień tygodnia i porę dnia.

**Prywatny gabinet rentgenowski**

Łódź, ul. Nawrot 2a  
 33-26-79  
**OFERUJE**  
 pełny zakres badań RTG  
 czynny w godz. 9—14  
 oprócz sobót i niedziel

**GABINETY CZYNNE BEZ PRZERWY URLOPOWEJ**

**Pracownia ultrasonografii prywatnej pomocy lekarskiej**

Łódź, ul. Nawrot 2a  
 33-26-79  
**WYKONUJE BADANIA:** wątroby, pęcherzyka i dróg żółciowych, trzustki, nerek, gruczołu krokowego, narządu rodowego, owulacji, ciąży, rozwoju ciąży, trofii płodu, łożyska, łożyska, łożyska. Wczesna diagnostyka stanów biodrowych u dzieci.

Informacje i zapisy telefonicznie: tel. 33-26-79 (9—16).  
 Badania codziennie w godz. od 14, soboty 10—12.

1252/g







# Adam Ochocki wspomina co było pół wieku temu

Wielkonoce, skazani na mocy wyroku sądowego, odliczają z niecierpliwością dni i godziny dzielące ich od wyjścia na wolność. Z nami było odwrotnie: rachowaliśmy tygodnie i miesiące przebyte w zamknięciu. Jak długo jeszcze? I za co siedzimy?

Na te pytania nie potrafiliśmy sobie odpowiedzieć, a próby uzyskania jakichś informacji od funkcjonariuszy obozu spełzały na niczym. Jeszcze nas obrugano na perłowo. Wszystkich ogarniało coraz większe rozgoryczenie, zwątpienie, rezygnacja.

Szybko minęła jesień, uderzyły pierwsze przymrozki. Zima zagościła wyjątkowo wcześniej owego 1940 roku. Wydano nam ciepłą odzież, malachajki na głowę i walonki. Filcowe buty sięgające powyżej łydek. Snakomiele chroniły nogi przed mrozem, łatwo je było wkładać i zdejmować przed spaniem. Z innymi częściami ubioru nie rozstawaliśmy się całą dobę, bo chociaż w baraku stała kosa z przeciągniętą na dach długą rurą, i opału mieliśmy pod dostatkiem (byliśmy przecież drwalami, a słyszał kto, żeby szewc chodził bez butów?), chłód dawał się w nocy we znaki.

Podobnie jak pozostałe polskie brygady pracowaliśmy wyłącznie na liespowały. Po ścięciu i obróbce drzew zostawało mnóstwo gałęzi. Znosiliśmy je w jedno miejsce, formowaliśmy wielogłówny stos, a gdy sięgał kilku metrów, wkraczali podpalacze. Ogień kresłał się jak w średniowieczu przez pocieranie dwóch krzemieni. Iskry padały na długi, wysuszony sznur konopny, tłący się koniec podtykali pod kępę mchu, jedno, drugie dmuchnięcie i ogień zaczął pełzać po gałęziach.

Wykłóciliśmy się z brygadierem o miejsce koło ogniska. To była wielka frajda! Zadane humelantwo, bo i tutaj czekała praca. Gałęzie trzeba było wciąż podrzucać, ani jedna nie mogła zostać na pogorzelisku. Zar buchał jak z pieca piekarniczego. Zdejmowaliśmy walonki, suszyliśmy zwilgotniałe od potu onuce, trzymając je dla osłony przed twarzą.

Prosto z pracy szarżowaliśmy na kuchnię. Rozmodlonym wzrokiem wpatrywał się człek w kucharzy, rozlewających zupę do manierek i blaszanek, co kto miał.

— Po głubieje, towarzysze powar, po głubieje! Bo na dnie kotłów spoczywały galuszkę, ziemniaki, kasza, a kucharzy mogliśmy śmiało tytułować „towarzyszami”, byli tak samo jak my „zakluczonni”.

Mrozy i wymęczająca praca zaostriżyły apetyty. Nawet kilogram i sto gramów chleba nie zaspokajały głodu. Każdy mógłby spałaszować dwa razy tyle. I pomyśleć, że jeszcze tak niedawno wyrzucaliśmy chleb przez okno...

Poza chlebem i machorką handlowano talonami. Ceny ich kształtowały się wprost proporcjonalnie do kategorii kotła. Co jakiś czas zmieniano serie talonów — przez parę tygodni te najgorsze, białe, dostawali najmiejsi wydajni, sółte — brygady z dobrym dorobkiem, zielone — otlicznicy, a potem na odwrót: te białe były najlepsze. Podpatrzyliśmy owe praktyki i co sprytniejszy kupował za kopiejką najgorsze talony, przetrzymywał je jakiś czas, a gdy zobaczył takie same w ręku najgorszych robotników, wyciągał przechowane karteluszki i maszerował pod kuchnię.

Należało mieć się na baczności. Bo gdy kucharz zorientował się po numerach i serii co mu podsunęto, talon odbierał, zanurzał chochlę w kotle i — chlust! — wylewał zawartość przez okienko. Jeśli delikwent nie schylił się w porę (każdy na wszelki wypadek stał na lekko ugiętych nogach, żeby w razie czego wykonać unik), mógł z poparzeniami wrócić do baraku lub wyładować w przybozowym szpitaliku.

W barakach ustawiono beczki z kilkimi, malymi, suszonymi, słonymi, jak wielkie nieszczęście, rybkami. Dziś chętnie położyłbym sobie takie dwie, trzy kiki na grubo posmarowany masłem chleb, ale wtedy nie służyły one za przekaskę. Szybko odczułiliśmy skutki tego obżarstwa. Meczło nas pragnienie, pochłaniały nadmierne ilości wody (kapiatoki!) i w nocy po kilkanaście razy wybiegaliśmy z baraku, by sobie ulżyć.

Częste wyskakiwanie na mroź potęgowało jeszcze parcie. Do latryn nikt nie chodził, za daleko, potrzeby swe załatwialiśmy na miejscu, przed samym barakiem. A że luda było sporo, rankiem witaly nas ostro zakończone stalagmity, podobne do tych spotykanych na dnie jaskiń, tylko nie tak przezrocyste, o żółto-zielonej, zamiat białej, barwie. Kto chciał mógł się zgłosić na ochotnika, zamiast wyjść do lasu zostać w obozie i wyrabować obłożone skutki naszych nocnych wypadów. Robota paskudna, odpryski stalagmitów lądowały na twarzy, oblepiały odzież, toteż chętnych nie było wielu.

Mnie również dokuczał pech. Postanowiłem wykurować się własnym przemysłem. Zdobylem dwulitrową puszkę po farbie olejnej i do niej sikałem w nocy, odstawiając naczynie na półkę górnej przytocy, gdzie znajdowało się moje legowisko.

Rano przy rozdziale chleba rozległ się krzyk leżącego podo mną kolegi:

— Do cholery jasnej! Jaki ten chleb jest dzia-

staj mokry!

Tknięty złym przecuciem odwróciłem głowę w kierunku mego prowizorycznego nochnika. Struchlałem: puszka leżała przewrócona. Nis powiedziałem koledek co się stało. Dziś wiem, że postąpiłem jak skończony drań. Trzeba było się przynajmniej oddać mu mój suchy chleb, ale ja byłem taki głodny!

Mroź teżał z dnia na dzień. Czekaliśmy z u-  
pragnieniem, żeby słupek zabarwionego na fio-  
letowo spirytusu w termometrze spadł poniżej  
czterdziestu stopni, wtedy nie wyprowadzano na  
roboty.

W taki też mroź generał radziecki wybrał się  
na lustrację oddziałów żołnierzy, odbywających  
ćwiczenia bojowe na dalekiej północy. Była  
przerwa, opatulił w szyneli boję odpoczywa-  
li w barakach. Chcąc ich podnieść na duchu,  
generał wszczynał pokrzepiające rozmowy.

— Zdrastwujcie, towarzysze boje!

— Zdrastwujcie, towarzysze gienierał!

— Purga na dworcie, mietel mietelista

— Da, towarzysze gienierał!

— Niczewo, skoro bojowyje uprażnienija kon-  
czatsa, wierniotes' domoj...

I tak barak po baraku, wszędzie takie same  
odzywki, aż wreszcie generał zawędrował do os-  
tatniej lepianki, gdzie również zastał pokurczo-  
ne z zimna postacie, w nasuniętych na oczy  
malachajkach.

— Zdrastwujcie, rebiata!

— Zdrastwujcie, towarzysze gienierał!

— Pizdit na dworcie?

— Pizdit, towarzysze gienierał!

— Niczewo, skoro wierniotes' domoj. A jajca  
promierzi?

— Niet, towarzysze gienierał!

— Kat niet? — zdziwił się generał.

— Wied' mój diwuszki!

Kilka dni po przybyciu do obozu napisałem  
do Melmanów, poprosiłem o przysłanie paczki  
z żywnością. I kiedy już o tym zapomniałem,  
wywołano mnie do kancelarii.

— Pierledacza dla was. Poluczajcie.

Były tam dwie tabliczki czekolady, kilka pa-  
czek machorki, suchy placek (moja poczułwa  
pani Sonia, sama go na pewno upiekła), skar-  
petki, jakieś drobiazgi. Nie zdążyłem nacieszyć  
się tymi darami: odkrycie, jakiego dokonałem w  
bani, odebrało mi chęć do wszystkiego. Na no-  
gach utworzyły mi się potężne otłoki, obrzęki.  
Lydki miały grubość ud, a nad udami jakby  
wyrósł nowa warstwa ciała. Naciśnięcie opu-  
chniętym palcem — w otoku powstało wgłęb-  
nie, jak w cieście.

— Wot, tiebie choroszo — powiedział na ten  
widok bańszczik. — Skoro podochnieś, uż  
nie budiesz bójse muczitsa!

— Żebyś się zatachnął swoją parą? — pomyśla-  
łem i w te pędy pognąłem do Eljana.

— Panie brygadiera, niech pan popatrzy! —  
opuściłem nogawki.

dokładnie oznacza, nie mam pojęcia. Podobno  
to skrót dwóch wyrazów hebrajskich określa-  
jących pochodzenie, więc zgodnie z prawdą za-  
pewniłem „Amchu”!

W baraku było ciepło, przytulnie. Już pierw-  
szego wieczora pochłonię na przysmak kilka  
kawalków rafinady popijając wrzątkiem z do-  
mieszka smażonego na patelni cukru, co nawet  
kolorem nie przypominało herbaty. W myśl  
hasła Wańkowicza, że cukier krzepi, kilka razy  
dziennie delectowałem się nabytkiem od dzie-  
siatnika, a gdy trzeciego dnia popatrzyłem na  
nogi, stwierdziłem ku swemu przerażeniu, że  
wyraźnie odtepliły.

To ci heca! Jeszcze dzień, dwa, a wypiszą  
mnie ze szpitala! Ze zgrozą spojrzeli na za-  
marznęte szyby, przez które nie widać było  
świata bożego.

Podenerwowany krążyłem po korytarzu. Z  
zajmowanego przez felczerkę pokoju dobiegały  
tony granej na pianinie dumki ukraińskiej.  
Przystanąłem, uchyliłem drzwi, wsunąłem gło-  
wę do środka.

— A wy czewo iszczitje? — felczka ode-  
wała ręce od klawiatury. — Zdieś' nielzia, eto  
licznaja kwartira!

— Ja izwiniajus, przepraszam. Chciałem po-  
słuchać muzyki. Ja tożę igraju na pianino...

Twarz jej zlagodniała.

— Nu, togd zachoditje. Zakrojtie dwier'. Po-  
żalsta, sygrajtie koje czo iz waszewo repier-  
tuara.

Popisałem się seria tang. Te zawsze wycho-  
dziły mi najlepiej. „Tango Milonga”. „Oczy  
czarne”. „Czy ty wiesz, moja mała”. Na jej zy-  
czenie zanuciłem słowa cant i refrenów. Po  
koncercie poczęstowała mnie herbatą (prawdzi-  
wą!), kanapkami z szynką, pomidorami.

— Idźcie już. Jutro też możecie przyjść, ale  
trochę później. I żeby nikt nie widział...

Rabin mende, co w zad go ugryzia głęboko,  
Dusił, mrużąc: „Zab za zab, a oko za oko!”  
Aż jela kwilił menda, chwycona w potrzaski!  
„Śmiercią karzess mą winę? Mama rodzinę:  
laski!

Chcoss szuszej zemsty? Bierz ją, lecz nie  
przykręć śrubki!

I tak, jako ja ciebie — ugryź mnie  
w pöldupki!”

Audytoryum było przekonane, że to utwory  
mego pióra, wiedzieli, że jestem dziennikarzem.  
Przez skromność ani nie zaprzeczałem, ani nie  
potwierdzałem swego autorstwa.

Wśród słuchaczy było kilku pobożnych cha-  
sydów, nawet jeden podrabinek. Gdy padały  
mocne słowa, odwracali się z obrzydzeniem  
lub pluli artystom pod nogi, co wywoływało  
jeszcze większą wesołość.

A jednak znalazło się coś z klasyki! Przyszła  
kolej na „Marie” Malczewskiego. „Ojca zadu-  
mionych” Słowackiego i „Czaty” Mickiewicza,  
co prawda w nieco zmienionej formie. Wyko-  
nawcą był nauczyciel z powszechnej szkoły,  
jego nazwiska nie pamiętam.

— Malczewski's Malkiel! — obwieścił przy-  
bierając artystyczną pozę.

Hetno, a panie kozak! Wo lajst du rysiste.  
Has du haze gwidzial skiken auf der wilsa,  
Oder entfojt di cigiel wils du myszagen  
Mit ukrainer wiater machen a wyscigen?

Po czym przypomniał „Czaty” — „A zasada-  
kies”!

Fyn di gartenaitane, der marszelik zdiszane  
Lojft ins cytafel dugegen.  
Ufgemisz a fajrankie, kikt in bet fyn  
kochankie

Hat a mojre, ys gunys gelegent!

— Jeszcze! Jeszcze! — publiczność była nie-  
nasycona, a orator zaanonsował „Futer fyn di  
zadzumlones”!

Dra ma! a golmond wekselte manatkes.  
Seit na ten plasek ich geszelt palatkiess,  
Drei kleine kinder hat di Sura leben,  
A gance miszpuche ys slon beklejben!

Jednak gwoździł programu były popisy nie-  
zastąpionego Chaima, który nie czekając na  
takie okazje jak wychodnej wprawiał nas w  
szampański humor swoją przebojową piosenką  
o Kasi i Jasiu. Toteż, gdy rozległy się wywoły-  
wania „Chaim, Chaim” — zeskoczył z przytocy,  
stał pod progiem baraku i zaśpiewał:

Pytala sze Kasza, nadobnego Jasza,  
Ile Jaszu pół tym masz? Ile Jaszu pół ty  
masz?

Mam ja jedno pole, na którym pierdoję,  
Jestem sobie gospodarz!

Przy ostatnich słowach Chaim ujmował się  
dziarsko pod bok, zadzierał głowę i wyrzucał  
nogę przed siebie.

Za czasów austro-węgierskich protoplasta  
Chaima, stary, pobożny Żyd, w czapce lisiej,  
czarnym surducie, w białych pończochach do  
kolan, z fantazyjnie kręconymi pejsami, wyje-  
chał na kurację do Karlsbadu. Przechodnie ze  
zmianieniem przyglądali się kroczącemu po de-  
paku patriarsze. Ten się odwrócił i zapytał:

— Co jest? Krakowiaczka nie widziałiszcie?

Chaim ustąpiła szybko, jak nadeszła.  
Znieśliśmy ją w niezłej kondycji.  
Nie imaliśmy się nas zapalenia płuc  
ani tyfus, choć mimo odwoszenia  
odzieży w bani, ten i ów podejrz-  
nie się drał. Zdarzały się nato-  
miast częste zachorowania na panos, krwawą  
biegunkę. Jeden z baraków zamieniono na po-  
dręczny lazaret, bo szpitalik nie mieścił już cho-  
rych. Myślałem, że w przybytku ekipe sanitar-  
nej spotkam moją Kasię, ale została na swym  
posterunku.

Chorzy na panos szybko wracali do zdro-  
wia, gdyby nie antysanitarnie warunki i jedze-  
nie. Przy tego rodzaju chorobie konieczna jest  
ściśła dieta, a pacjentów lazaretu karmiono tym  
samym, co zdrowych, pracujących więźniów. A  
że kucharz z upodobaniem serwował grochów-  
kę, skutki były opłakane: chorzy dostawali  
krwotoku, co nierazdo kończyło się śmiercią.

Pierwsze dni wiosny wlały w nasze serca o-  
tuchę. Może już nareszcie? Ale nie się nie  
zmieniło. Codziennie wymarsze o szóstej rano  
do roboty, z tym, że już nie w ciemnościach  
niekończącej się nocy, i powroty w pełni dnia.  
Jeden powrót utkwil mi w pamięci na całe  
życie. Humory nam dopisywały, robota poszła  
wyjątkowo składnie. Przy wrotach zaskoczyła  
nas nerwowa krzątająca i marsowe miny straż-  
ników, którzy gorączkowo o czymś rozprawiali.  
Coś się musiało wydarzyć! To „coś” poraziło  
nas wszystkich przy wieczornym apelu: Niemcy  
napadli na Związek Radziecki!

Zarządzeniem komendanta okna baraków  
zostały zaciemnione. Z niepokojem spogląda-  
liśmy w niebo. Miałem w pamięci niedawne na-  
loty na Łódź i Warszawę. Wtedy chociaż można  
było szukać schronienia, uciekać do „bezpie-  
cznych” miast...

Opanował nas strach, zdwojony smutek. Nikt  
już nie myślał o urządzaniu wieczorów humo-  
ru. Inter arma silent Musae, w czasie wojny  
milkną Muzy...

Fragment przygotowywanego do druku pa-  
miętnika „Raz, dwa, wzięli”. Z pobytu autora  
w Związku Radzieckim w latach wojny.

Za tydzień:

Za bramą bez straż

## Muzy w obozie

— Niedobrze — pokręcił głową. — To chyba  
serce, zawiadomę dziesiątnika, skieruje pana  
do szpitala.

Dziesiątnik wydał polecenie na piśmie, a ja  
użyłem z nim interes: za dwie tabliczki czeko-  
lady i parę skarpet dał mi kilogram cukru, ra-  
banej, bielutkiej rafinady.

Rano zaniosłem swój worek z ma-  
nelami na przechowanie i pod opie-  
ką strielka, z tórebką cukru w  
garści, poczułem się do znajdującego  
się za wrotami obozu szpitalika.  
Brygady stały na linie, gotowe  
do wymarszu. Jedni spoglądali na mnie ze  
współczuciem, inni z ciekawością, a byli i tacy,  
we wzroku których wyczytywałem zazdrość.

Jaki jest ten lekarz? Chłop do rzeczy czy  
konował? Co stwierdzi? Zostawi w szpitalu  
czy odesła z powrotem do pracy?

W korytarzu dwaj pacjenci czekali na przy-  
jęcie u lekarza. Jeden miał zranioną nogę, za-  
ciął się przy rąbaniu drzewa, drugi, starszy,  
pojechał trzymając się za brzuch. Obrzęki pod  
ocyma wskazywały na dolegliwości wątroby.  
Powiedział mi o swoich przeżyciach. Najpierw  
uciekł z Berlina, gdy Hitler rozpoznał falę prze-  
śladowań „podludzi”, zamieszkał we Wiedniu,  
po Anschlussie salwował się ucieczką do Pragi,  
czeskich, do swojej siostry, po zajęciu Pragi  
przez hitlerowców przedostał się do Krakowa,  
stąd po wybuchu wojny niemiecko-polskiej do  
Łwowa, gdzie podzielił los innych bieżenców.

Wreszcie przyszła na mnie kolej. Wszedłem  
do pokoju i... zdołałem: za stołkiem, w białym  
kitlu, siedziała moja felczka!

— Czym stradał? — zapytała nie podno-  
sząc oczu znad rozłożonego wykazu. — Nu, na  
czto żalujecie? — oderwała wzrok od papie-  
row.

— Ja... ja... raspuchszij... Nawierno sierdec...

Osluchala mnie, kazała obnażyć nogi.

— To nie serce. Piliście za dużo, puchlina  
wodna — przyjrzała mi się badawczo. — Otku-  
da ja was znaju? Jak bud' to wasze lico znako-  
mu...

Skąd mnie znasz ślicznotko? Chciałem jej za-  
proponować: spuszczyć portki, może przypomnia-  
sobie ten fatalny przegląd?

— Poza tym, grażdanko wracz, cierpię na za-  
wroty głowy, głowokręcenie. Jako dziecko  
przeszedłem dwukrotną trepanację czerpa,  
czaszki, nie słyszę na jedno ucho, błędnik doku-  
cza...

— Ładno. Zatrzymamy was na kilka dni w  
szpitalu.

Wypisała imię, nazwisko, numer brygady i z  
przydzielonego mi łóżka. W magazynie zafaso-  
wałem paslasy strój — spodnie dla jakiegoś  
wielkoduła, bluzy z innego kompletu, ledwo się  
w nią wcisnąłem.

Szpitalik mieścił się w kiszkatym baraku.  
Po lewej stronie korytarza „sale”, oddzielone od  
siebie przepierzeniami z dyktu, po prawej po-  
mieszczenia służbowe — izba przyjęć, będąca  
jednocześnie gabinetem lekarskim, magazyn,  
kuchnia, prywatne mieszkanie felczki i coś  
tam jeszcze.

Obok mnie leżał starszy mężczyzna, z zawodu  
inżynier, doradził drwał w brygadzie rosyjskiej.  
Na moje „dobry dzień” zapytał szeptem:

— Amchu?

Pytanie to, żądające odpowiedzi czy się jest  
Żydem, ma kosmopolityczny charakter. Na całej  
kuli ziemskiej można dogadać się ze współple-  
mienicem z pomocą tego jednego słowa. Co ono

W miarę upływu dni moje nogi wracały do  
dawnego kształtu, a ja coraz później do swego  
łożka. Katia Iwanowna była czarująca. Mówi-  
liśmy już sobie po imieniu i odczestwiliśmy Z bi-  
blioteczki wyszperała jakąś mądrą książkę i  
wjaśnaczyła mi:

— Ta swoja dolegliwość z błędnikiem to epi-  
timponit, albo labirintit. Zapamiętaj te nazwy:

Wyczuwałem, że nie byłaby przeciwna dal-  
szemu zbliżeniu. Ale skończyła się na niewin-  
nych pocałunkach. A gdybyś, czarnooka, nie za-  
aplikowała mi wtedy na przegłądzie tej stupro-  
centowej brygady, to może nawet ta przekleta  
sodka nie podziałaby tak skutecznie! Sama  
nawarzyła sobie piwa, cierpiała, kiedyś  
chciała!

Po dwóch tygodniach, gdy na nogach nie po-  
zostało śladu po otłokach, do szpitalika zwałiła  
się komisja z autentycznym lekarzem. Wracz  
popatrzył na moją puchłąwą, jak księżyc w  
pełni, gębę i wytrzeszczył oczy.

— A ten ośilek co tu robi?

Katia coś mu tłumaczyła po swojemu, wracz  
kręcił głową z dezaprobatą, opukał mnie i po-  
lecił wypisać zaraz ze szpitala.

Rozstanie było krótkie, serdeczne. Katia  
Iwanowna otarła łzę rękawem kitla, ucałowała  
mnie i wręczyła solidną walówkę.

— Nie zabywaj, proszczaj!

Kolejny nie mógł się nadziwić me-  
mu wyglądkowi. Brygadiera wyzna-  
czył mi na okres rekonwalescencji  
leższą robotę przy uprzątnięciu i  
paleniu gałęzi.

— Podczas pańskiej nieobecności  
zawiazało się tu, jakby to powiedzieć, kółko ar-  
tystyczne. Nie specjalnego, deklamują wiersze,  
śpiewają piosenki, co kto umie. Doszlusuje  
pan?

Generalny popis odbył się w najbliższy wy-  
chodni, dzień wolny od pracy. Ładne mi wy-  
chodni! A dokąd to, proszę łaski naczaistwa,  
mieliśmy wyjść?

Pierwszy zebrał oklaski skoczny jak pchła  
Popiel z podkrakowskiej mieścin.

Śliczny miasto sobi stoi,  
Tysiąc Żydów na to goji,  
Trzy kupcowy na dwie jajki,  
Handel zboża, dziedziu, fajki,  
Sztury karczmy na trzy chłopcy...  
Co za wódki przeda snopy,  
Pocztą, urząd podatkowy,  
Chajder i sąd powiatowy,  
I kasyno z siedem członki,  
I pan burmistrz z grubym żonki...

W kolejce niecierpliwił się następni wyko-  
nawcy. Tak jak się tego spodziewałem, reper-  
tuar nie był wybredny. Nic z klasyki, to by nie  
chwyciło, więc dostosowałem się do otoczenia i  
chcąc podnieść poziom zadeklamowałem kilka  
utworów mego przyjaciela, którego cał' zbior-  
rek „turniej rycerski” znam na pamięć. A więc  
smętną balladę o owym wesołym dziewczęciu:

„Deszcz zimny pada, wichera świszcz, wlece  
się drogą biedne kurwiszeczko, próżno wystawia  
dupę na sprzedaż, więc lamentuje bieda-ż, o  
bieda-ż...”, potem rapsod rycerski: „Domini-  
kańskich kronik strzęp się znalazł u mnie, na  
śmierć się zadupczywszy, spoczął księżę w tru-  
mie...”, a na bis fraszkę o rabinie i mendzie: